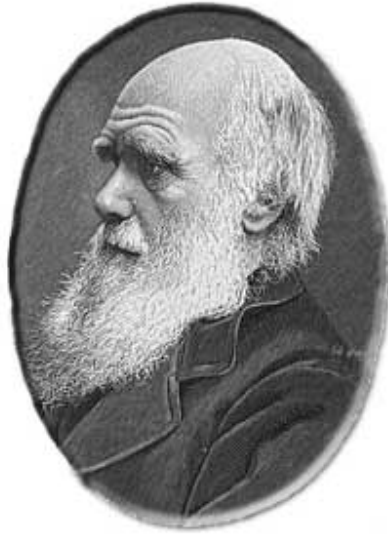


**Karol Darwin**



**Autobiografia**

**Edycja komputerowa: [www.zrodla.historyczne.prv.pl](http://www.zrodla.historyczne.prv.pl)**

**Mail: [historian@z.pl](mailto:historian@z.pl)**



**MMIV ®**

**Tłumaczenie: prof. Stanisław Skowron**

## **Wspomnienia o rozwoju mojego umysłu i charakteru** **31 maja 1876 r.**

Kiedy pewien niemiecki wydawca zwrócił się do mnie z prośbą, bym napisał coś o rozwoju mojego umysłu i charakteru oraz szkic autobiograficzny, sądziłem, że taka praca byłaby dla mnie przyjemną rozrywką, a również mogłaby zainteresować moje dzieci i wnuki. Wiem, jak bardzo zainteresowałyby mnie czytanie krótkiego choćby i nudnego szkicu napisanego przez mojego dziadka o jego umysłowości, o sposobie myślenia i pracy. Starłem się pisać tak, jakbym już nie żył i z innego świata spoglądał wstecz na własne życie. Nie jest to zresztą trudne, gdy życie jest już właściwie poza mną. Nie bardzo też dbałem o styl mojej pisaniny.

Urodziłem się w Shrewsbury 12 lutego 1809 r. Słyszałem nieraz, jak mój Ojciec mówił, że jego zdaniem pamięć ludzi obdarzonych wybitnym umysłem sięga zazwyczaj do bardzo wczesnego okresu życia. Ze mną jest inaczej, jako że najwcześniejsze moje wspomnienia sięgają czasów, gdy miałem cztery lata i kilka miesięcy, kiedy to chodziliśmy kąpać się w morzu w pobliżu Abergele. Przypominam też sobie, jak przez mgłę, niektóre miejsca i zdarzenia z tych czasów.

Matka moja zmarła w lipcu 1817 r., kiedy miałem niewiele ponad osiem lat i, rzecz dziwna, prawie jej nie pamiętam - z wyjątkiem jej łoża śmierci, czarnej aksamitnej sukni oraz osobliwie zbudowanego stolika do robót. Sądzę, że do tego braku wspomnień częściowo przyczyniły się moje siostry, które z żalu nie mogły mówić o niej ani wspominać jej imienia, częściowo zaś - ciężki stan jej zdrowia. Na wiosnę tego roku posłano mnie do szkoły [day-school] w Shrewsbury, do której uczęszczałem przez rok. Nim poszedłem do szkoły, uczyła mnie siostra Karolina, lecz wątpię, by to przyniosło jakiś pożytek. Opowiadano mi, że uczyłem się gorzej niż moja młodsza siostra Katarzyna, a przypuszczam, że i pod wielu innymi względami byłem nieznośnym chłopcem. Karolina była niezwykle uprzejma, zdolna i pilna. Była ona zanadto nawet gorliwa w swych wychowawczych wysiłkach. Po tylu bowiem latach pamiętam dokładnie, jak wchodząc do pokoju, w którym się znajdowała zapytywałem w duchu: "Co mi ona znów wytknie?" - i zaciąłem się w uporze, aby nic sobie nie robić z jej wymówek.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, moje zamiłowanie do historii naturalnej, a zwłaszcza do gromadzenia zbiorów, było już silnie rozwinięte. Starłem się poznać nazwy roślin i kolekcjonowałem najprzeróżniejsze rzeczy: muszle, pieczątki,

znaczkę, monety i minerały. Moja pasja kolekcjonerska, która może z człowieka zrobić przyrodnika-systematyka, znawcę lub skąpcę, była bardzo silnie rozwinięta; była to najwyraźniej rzecz wrodzona, gdyż żadna z moich siostr ani brat nigdy nie zdradzali podobnego zamiłowania.

Pewne drobne wydarzenie z tego okresu pozostawiło ślad w moim umyśle, albowiem miałem później z tego powodu ciężkie wyrzuty sumienia. Jest ono ciekawe, bo wskazuje, że już w tak młodym wieku interesowałem się zmiennością roślin! Opowiedziałem mianowicie pewnemu chłopczykowi (sądzę, że był to Leighton, który został później znanym lichenologiem i botanikiem), że potrafię otrzymywać rozmaicie ubarwione narcyzy i pierwiosnki przez podlewanie ich barwnymi płynami, co było oczywiście wierutną bajką i czego nigdy nie próbowałem dokonać. Muszę się również przyznać, iż jako mały chłopiec byłem bardzo skłonny do komponowania różnych zmyślonych historii, i to zawsze dla wywołania sensacji. Tak np. pewnego razu zerwałem z drzew Ojca mnóstwo doskonałych owoców, ukryłem je w krzakach, a następnie tracąc niemal dech z pośpiechu pobiegłem rozgłosić, że wykryłem całą masę skradzionych owoców.

W tym też mniej więcej czasie lub być może nieco wcześniej kradłem nieraz owoce i później je zjadałem. Jedną z moich metod była naprawdę odkrywczą. Ogród kuchenny zamykano wieczorem. Otaczał go wysoki mur, dostawałem się nań jednak łatwo przez sąsiadujące z nim drzewa. Następnie zatykałem długi kij w otwór dosyć dużej doniczki kwiatowej i podnosząc ją w górę podstawiłem pod dojrzałe brzoskwinie i śliwki, które wpadały do doniczki i w ten sposób dostawały się w moje ręce. Pamiętam, jak będąc jeszcze zupełnie małym chłopcem, wykradałem jabłka z ogrodu i dawałem je następnie chłopcom mieszkającym w pobliskim domku. Zanim jednak ich obdarowałem, demonstrowałem im szybkość biegu i dziwię się doprawdy, w jaki sposób uszło mojej uwadze, iż tylko z chęci otrzymania jabłek wyrażali oni podziw i zdumienie dla moich wyczynów. Pamiętam jednak doskonale, jak było mi miło usłyszeć, że nigdy nie widzieli chłopca biegającego tak szybko!

Z okresu kiedy byłem w szkole p. Case'a, przypominam sobie jeszcze tylko jedno zdarzenie, a mianowicie pogrzeb dragona. Zadziwiające, jak dokładnie jeszcze dziś pamiętam konia z zawieszonymi na siodle butami i karabinem zmarłego oraz salwy nad grobem. Scena ta głęboko poruszyła całą poetycką wyobraźnię, jaką wtedy posiadałem.

W lecie 1818 r. wstąpiłem do szkoły [great school] dra Butlera w Shrewsbury i pozostawałem tam siedem lat - aż do połowy lata 1825 r., kiedy to ukończyłem szesnasty rok życia. Mieszkałem wówczas w szkole, pędząc z wielkim dla mnie pożytkiem życie prawdziwego ucznia, ale ponieważ odległość od mojego domu wynosiła niewiele więcej ponad milę, przeto biegałem tam często podczas dłuższych przerw i przed zamknięciem sali na noc. Myślę, iż było to dla mnie korzystne, gdyż podtrzymywało moje przywiązanie do domu rodzinnego i zainteresowanie jego sprawami. Pamiętam, jak w pierwszym okresie mojego życia w szkole często musiałem biec bardzo szybko, aby zdążyć na czas, a że biegałem dobrze, zawsze mi się to jakoś udawało. Gdy zaś miałem co do tego wątpliwości, gorąco prosiłem Boga o pomoc. Przypominam sobie doskonale, jak to przypisywałem moje sukcesy modlitwom, nie zaś szybkiemu biegowi i nie mogłem się nadziwić, że Bóg mi tak często pomaga.

Ojciec mój i starsze siostry opowiadały mi, że gdy byłem jeszcze bardzo młodym chłopcem, wykazywałem wielkie zamięłowanie do dalekich samotnych przechadzek, lecz o czym myślałem wtedy - nie wiem. Niekiedy byłem bardzo zamyślony. Pewnego razu gdy wracałem ze szkoły, znalazłem się na szczycie dawnych fortyfikacji otaczających Shrewsbury, przez które biegła ścieżka dla pieszych ogrodzona tylko z jednej strony. Zboczyłem z niej i spadłem w dół, lecz wysokość nie była większa niż siedem czy osiem stóp. Niemniej jednak w czasie tego bardzo krótkiego, nagłego i całkiem nieoczekiwanego upadku przez mój umysł przemknął tak zadziwiający nawał myśli, że trudno jakoś fakt ten pogodzić z poglądem głoszonym, jak się zdaje przez fizjologów, że każda myśl wymaga pewnego określonego, dającego się wymierzyć czasu.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, musiałem być bardzo naiwny. Jeden chłopiec, nazwiskiem Garnett, zaprosił mnie pewnego dnia do cukierni i kupił tam parę ciastek, za które nie zapłacił, ponieważ cieszył się zaufaniem sprzedającego. Gdyśmy wyszli, zapytałem go, dlaczego nie zapłacił za ciastka, a on mi odpowiedział: "Jak to, nie wiesz, że mój wuj zapisał miastu wielką sumę pieniędzy pod warunkiem, iż każdy kupiec da bez zapłaty wszystko, co potrzebne każdemu, kto będzie nosił jego stary kapelusz i poruszy nim w pewien osobliwy sposób". Następnie pokazał mi, jak to należy robić, po czym wstąpił do innego sklepu, gdzie mu również ufano, zażądał jakiejś drobnostki, poruszył kapeluszem w odpowiedni sposób i rzeczywiście otrzymał bez zapłaty wybrany przedmiot. Gdyśmy wyszli, powiedział: "Jeśli chcesz wejść do cukierni (jakże dobrze pamiętam miejsce, w którym się znajdowała), pożyczę ci mojego kapelusza, a poruszając nim odpowiednio na głowie, otrzymasz wszystko, czego tylko zapragniesz"...

Uradowany, przyjąłem tę szlachetną propozycję, wszedłem do sklepu, poprosiłem o kilka ciastek, poruszyłem starym kapeluszem, lecz gdy wychodziłem ze sklepu, właściciel rzucił się ku mnie. Zostawiłem ciastka i uciekłem ledwie żywy. Byłem zdumiony, gdy przeniewierca, mój przyjaciel Garnett, powitał mnie wybuchem śmiechu.

Muszę to sobie samemu przyznać, że byłem dzieckiem ludzkim, humanitarnym, lecz zawdzięczam to całkowicie naukom i dobremu przykładowi moich sióstr. Wątpię zresztą, czy humanitaryzm jest naturalną czy też wrodzoną właściwością. Znajdowałem wiele przyjemności w zbieraniu jaj ptasich, lecz nigdy nie zabierałem z gniazda więcej niż jedno. Raz tylko wyjątkowo zabrałem wszystkie, nie dla ich wartości zresztą, lecz przez pewnego rodzaju brawurę.

Miałem też wielkie zamiłowanie do rybołówstwa i godzinami mogłem siedzieć nad brzegiem rzeki lub stawu wpatrując się w pływak. Gdy jednak w Maer [w domu wuja K. Darwina - J. Wedgwooda] powiedziano mi, że robaki można zabijać słoną wodą, nigdy już od tego dnia nie zakładałem na haczyk żywego robaka, jakkolwiek wpływało to niekorzystnie na moje połowy. Raz wszakże zdarzyło mi się postąpić bardzo okrutnie. Kiedy byłem zupełnie jeszcze małym chłopcem - zacząłem właśnie chodzić do szkoły, a może było to jeszcze wcześniej - zbiłem szczenię, i to jak sądzę, jedynie dla przyjemności poczucia własnej siły. Bicie jednak nie musiało być zbyt bolesne, ponieważ piesek nie skowyczał, a tego jestem pewien, gdyż działo się to blisko domu. Postępek ten jednak ciążył mi bardzo na sumieniu, o czym świadczy choćby fakt, że bardzo dokładnie przypominam sobie miejsce, w którym dopuściłem się tego występku. Dokuczało mi to tym bardziej, iż zarówno wtedy, jak i później pasjami lubiłem psy. Psy zdawały się wiedzieć o tym, bo celowałem w zdobywaniu ich miłości kosztem przywiązania do ich właścicieli.

Nic nie mogło gorzej wpłynąć na rozwój mojego umysłu niż szkoła doktora Butlera, ponieważ była ściśle klasyczna i poza nielicznymi wiadomościami z geografii i historii starożytnej nie uczono w niej niczego więcej. Szkoła nie była dla mnie drogą prowadzącą do wykształcenia. Przez całe życie nie byłem zdolny do opanowania jakiegokolwiek języka. Specjalną uwagę poświęcano tam pisaniu wierszy, a ja nigdy tego nie umiałem dobrze robić. Miałem jednak wielu przyjaciół i zgromadziłem ładną kolekcję dawnych wierszy; zestawiając je, z pomocą innych chłopców - opracowywałem każdy temat. Wiele uwagi zwracano na pamięciowe wyuczenie się lekcji z poprzedniego dnia. Przychodziło mi to bardzo łatwo i podczas rannego nabożeństwa uczyłem się po czterdzieści lub pięćdziesiąt wierszy z Wergiliusza lub Homera. Praca ta jednak była najzupełniej bezużyteczna,

ponieważ po czterdziestu ośmiu godzinach zapominałem każdego wyuczonego na pamięć wiersza. Nie byłem leniem i - z wyjątkiem wersyfikacji - sumiennie studiowałem klasyków, nie korzystając z "kluczy". Jedyłą moją przyjemnością w tego rodzaju studiach było czytanie niektórych ód Horacego, którego uwielbiałem. Gdy opuściłem tę szkołę, nie byłem na swój wiek ani zbyt zaawansowany, ani też nie pozostawałem bardzo w tyle i sądzę, że zarówno moi nauczyciele, jak i mój Ojciec uważali mnie za zwykłego chłopca, stojącego pod względem intelektualnym raczej nieco poniżej przeciętnego poziomu. Ojciec powiedział mi raz, ku mojemu głębokiemu upokorzeniu: "Nic cię nie obchodzi poza strzelaniem, psami i łapaniem szczurów, wstyd przyniesiesz sobie i całej rodzinie". Lecz Ojciec, który był zresztą najłagodniejszym człowiekiem, jakiego znałem, którego pamięć jest najdroższa memu sercu, musiał być właśnie rozgniewany i nieco niesprawiedliwie użył takich słów.

Pragnąłbym teraz kilka stron poświęcić mojemu Ojcu, który pod wieloma względami był człowiekiem niezwykłym.

Wzrostu około 188 cm, szeroki w barach i bardzo korpulentny był najteższym człowiekiem jakiego znałem. Ostatnio ważył 152 kg (24 stone), lecz później przybrał jeszcze znacznie na wadze. Głównymi cechami jego charakteru były spostrzegawczość i sympatia dla innych. Nie znałem nikogo, kto by go przewyższał lub nawet mu dorównywał pod tym względem. Swoją życzliwość okazywał on wszystkim otaczającym go ludziom nie tylko wówczas, gdy byli w biedzie, lecz nawet w wyższym jeszcze stopniu wtedy, gdy spotkała ich radość. Dlatego zawsze dążył do tego, by sprawiać innym przyjemność i choć nie lubił przesady, świadczył mnóstwo szlachetnych uczynków. Tak np. p. B., drobny przemysłowiec [w oryginale - manufacturer] z Shrewsbury, przyszedł raz i powiedział, że zbankrutuje, jeżeli nie uzyska pożyczki w wysokości 10 000 funtów; nie może on przy tym dać żadnej gwarancji posiadającej moc prawną. Ojciec mój miał jakieś powody, aby żywić przekonanie, że pożyczka zostanie spłacona i na podstawie intuicyjnej znajomości charakteru był pewny, że można mu zaufać. Wyłożył więc tę sumę, która była dla niego - młodego jeszcze wtedy człowieka - bardzo duża; po jakimś czasie została mu ona spłacona.

Sądzę, że ta właśnie sympatia do ludzi pozwoliła mu zdobywać nieograniczone zaufanie i w rezultacie doprowadziła do jego powodzenia jako lekarza. Zaczął praktykować, zanim ukończył dwadzieścia jeden lat, i już w ciągu pierwszego roku. Był w stanie za honoraria utrzymać dwa konie i służącego. W następnym roku jego praktyka się powiększyła i tak było do czasu, gdy przestał praktykować

mając już ponad sześćdziesiąt lat. Jego powodzenie jako lekarza było tym bardziej znamienne, że jak mi mówił, nie znosił początkowo swego zawodu, i to do tego stopnia, że gdyby tylko był pewny otrzymania najmniejszego kapitału lub gdyby jego ojciec dał mu możliwość wyboru, nic by go nie skłoniło do uprawiania zawodu lekarskiego. Myśl o operacji do końca życia doprowadzała go do mdłości i z trudnością znosił widok krwawiącego pacjenta. Lęk ten przekazał i mnie. Pamiętam bowiem przerażenie, które odczułem jako uczeń, gdy przeczytałem, że Pliniusz (o ile sobie przypominam) wykrawił się na śmierć w ciepłej kąpeli. Ojciec opowiadał mi dwie dziwne historie o krwawieniu. Jedna związana była z przyjęciem go jak bardzo młodego człowieka do łoży wolnomularskiej. Przyjaciel jego, który był masonem i który udawał, że nic nie wie o jego odrazie do widoku krwi, nadmienił mimochodem, gdy szli na zebranie: "Sądzę, że nie będziesz miał nic przeciwko utracie kilku kropli krwi?". Podobno przy przyjmowaniu go w poczet członków przewiązano mu oczy i odwinęto rękawy. Nie wiem, czy taka ceremonia odbywa się i obecnie, lecz mój ojciec wspominał ten wypadek jako doskonały przykład siły wyobraźni, ponieważ czuł on wyraźnie spływanie krwi wzdłuż ramienia i nie mógł prawie uwierzyć własnym oczom, gdy później nie znalazł najmniejszego nawet nakłucia na ręce.

Kiedyś gdy pewien znany rzeźnik z Londynu zasięgał porady mego dziadka, przyproszzonego innego, ciężko chorego pacjenta; dziadek życzył sobie, aby towarzyszący aptekarz niezwłocznie dokonał upustu krwi. Poproszono, aby rzeźnik podtrzymał rękę chorego; ten jednak wymówił się od tego i wyszedł z pokoju. Wytłumaczył później dziadkowi, że chociaż, jak sądzi, zabił własnoręcznie więcej zwierząt niż ktokolwiek inny w Londynie, to - rzecz absurdalna - zemdlałby z pewnością na widok krwawiącego pacjenta.

Dzięki zaufaniu, jakie wzbudzał mój Ojciec, wielu pacjentów, a zwłaszcza panie, zasięgały jego rady w różnego rodzaju zmartwieniach, jak gdyby go uważały za spowiednika. Opowiadał mi, że zawsze zaczynało się od nieokreślonych skarg na stan zdrowia w ogóle, lecz jego doświadczenie pozwalało mu szybko zorientować się, o co właściwie chodzi. Wtedy wysuwał sugestię, że wchodzi tu w grę cierpienie duchowe i wówczas już otwarcie przedstawiano mu swe troski, nie wspominając więcej o dolegliwościach fizycznych. Często przedmiotem żalów były kłótnie rodzinne. Jeśli mężczyźni uskarżali się na żony i wyglądało na to, że kłótnia jest poważna, Ojciec udzielał następującej rady, która zawsze okazywała się skuteczna, jeśli tylko dokładnie wypełniono zalecenia, co wszakże nie zawsze miało miejsce. Mąż miał oświadczyć żonie, iż jest bardzo zmartwiony, że ich pożycie nie jest szczęśliwe - jest pewien, że żona będzie szczęśliwa, gdy się



rozejdą i w niczym jej nie wini (w tym punkcie najczęściej nie stosowano się do rady), nigdy nie będzie jej oskarżał wobec kogokolwiek z ich krewnych i przyjaciół, a w końcu, że przyzna jej takie zaopatrzenie, na jakie go tylko stać. Miał ją następnie prosić, aby rozważyła jego propozycje. Ponieważ o nic jej nie oskarżano, uspakajała się rychło i szybko zdawała sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji by się znalazła nie mogąc przeciwstawić żadnych zarzutów i gdy nie ona, lecz mąż proponuje separację. Wtedy zwykle żona prosiła męża, aby już nie myślał o separacji i zazwyczaj zachowywała się później lepiej niż poprzednio.

Ta umiejętność wzbudzania zaufania sprawiała, że zwierzano się Ojcu także z różnych nieszczęść i przewinień. Często mówił o tym, jak wiele jest nieszczęśliwych żon. Bywało często i tak, że małżonkowie żyli ze sobą zgodnie przez dwadzieścia i trzydzieści lat, a potem zaczęli się nienawidzić z całą pasją. Ojciec przypisywał to temu, że z chwilą gdy dzieci dorastały, rodzice tracili wspólne zainteresowania, które ich łączyły.

Najprzedziwniejszą jednak właściwością mego Ojca była zdolność określania charakteru, a nawet zdolność czytania w myślach ludzi, z którymi stykał się choćby na krótko. O tej jego umiejętności, która nieraz wydawała się prawie nadprzyrodzona, świadczy wiele przykładów. Dzięki temu ojciec uchronił się od niegodnych przyjaciół (z jednym wyjątkiem, ale i wtedy charakter tego człowieka został szybko odkryty). Pewnego razu w Shrewsbury zjawił się jakiś dziwny pastor. Robił on wrażenie zamożnego człowieka; wszyscy go odwiedzali, a i on sam zapraszany był do wielu domów. Ojciec odwiedził go raz, lecz po powrocie powiedział siostrom, aby pod żadnym pozorem nie zapraszały ani jego, ani jego rodziny do naszego domu, gdyż uważa, że człowiek ten nie jest godny zaufania. Po kilku miesiącach pastor nagle znikł zaciągawszy wiele długów i okazało się, że był niewiele lepszy od zwykłego oszusta. Inny znów przykład świadczy o zaufaniu, na które niewielu ludzi mogłoby się zdobyć. Razu pewnego odwiedził ojca jakiś irlandzki gentleman, zupełnie mu obcy. Oświadczył, że zgubił portfel, i że byłoby dla niego wielce niedogodne czekać w Shrewsbury, nim otrzyma pieniądze z Irlandii. Prosi więc ojca o pożyczanie mu 20 funtów, które natychmiast otrzymał, gdyż ojciec był przekonany, że cała ta historia jest prawdziwa. W możliwe najkrótszym czasie nadszedł list z Irlandii list pełen serdecznych podziękowań; miał on zawierać - jak napisano - angielski banknot dwudziestofuntowy. W liście jednak nie było żadnego banknotu. Zapytałem ojca, czy to nie wzbudza w nim jakichś wątpliwości, lecz ojciec odpowiedział: "Najmniejszych". Następnego dnia przyszedł drugi list z wieloma przeprosinami za

to, iż przez zapomnienie pieniądze nie zostały włożone do poprzedniego listu (co bardzo pasuje do prawdziwego Irlandczyka).

Jeden z krewnych Ojca zasięgnął kiedyś jego rady w sprawie syna, który był istnym próżniakiem i nie chciał się zabrać do żadnej pracy. Ojciec odpowiedział: "Domyślam się, że ten zwariowany młody człowiek przypuszcza, że mu zapiszę większą sumkę. Powiedz mu, że nie zostawię mu ani grosza". Ojciec młodzieńca przyznał ze wstydem, że rzeczywiście taki absurdalny pomysł zaświtał w głowie syna i pytał Ojca, w jaki sposób to odkrył. Ojciec odpowiedział, że zupełnie tego nie wie.

Hrabia ... przyprowadził do Ojca swego siostrzeńca, który był psychicznie chory, lecz całkowicie spokojny. Choroba polegała na tym, że oskarżał się o wszystkie zbrodnie, jakie tylko istnieją. Gdy mój Ojciec omawiał następnie ten przypadek z wujem chłopca, rzekł: "jestem przekonany, że pański siostrzeniec rzeczywiście popełnił ... ohydny zbrodnię". Na to hrabia wykrzyknął: "O Boże, doktorze Darwin, kto to Panu powiedział. Sądziliśmy, że nikt poza nami o tym nie wie". Ojciec opowiadał mi to w wiele lat później. Zapytałem go, w jaki sposób odróżnił słuszne samooskarżenia od nieprawdziwych. Charakterystyczne dla Ojca było to, że nie mógł mi tego wyjaśnić.

Następująca historia wskazuje, jak trafne były przypuszczenia mojego Ojca. Lord Shelburn, późniejszy pierwszy markiz Lansdowne, słynął (jak o tym wspomina Macaulay) ze znajomości spraw europejskich, czym wielce lubił się chwalić. Zasięgał on kiedyś u Ojca porady lekarskiej, a później opowiadał o sprawach holenderskich. Kiedy ojciec studiował medycynę w Lejdzie, wybrał się kiedyś na wieś na wycieczkę z przyjacielem, który go zaprowadził do domu pastora (powiedzmy pana A., gdyż zapomniałem jego nazwiska) ożenionego z Angielką. Ojciec był bardzo głodny, a na drugie śniadanie było niewiele poza serem, którego nigdy nie jadał. Pani domu zdziwiona tym i zmartwiona zapewniała mego ojca, że jest to doskonały ser, przesłany jej z Bowood, posiadłości lorda Shelburna. Ojciec dziwił się, dlaczego przysyłano jej ser aż z Bowood, lecz nie zastanawiał się nad tym. Przypomniawszy sobie o tym w wiele lat później, gdy właśnie lord Shelburn opowiadał mu o Holandii. Rzekł tedy: "Z tego co wiem o p. A., sądzę, że był to bardzo zdolny człowiek i dobrze obznajomiony ze sprawami holenderskimi". Ojciec zauważył, że hrabia zmienił nagle temat rozmowy i był bardzo zaskoczony. Następnego ranka nadszedł list od hrabiego, który odłożył swój wyjazd, aby zobaczyć się z ojcem. Gdy przyszedł, powiedział: "Doktorze Darwin, zarówno dla mnie, jak i dla p. A. jest niezmiernie ważne, w jaki sposób odkrył pan źródło

moich informacji o Holandii". Tak więc mój ojciec musiał wyjaśnić całą sprawę; sądził on, że lord Shelburn musiał podziwiać jego zmysł do spraw dyplomatycznych, gdyż przez wiele lat otrzymywał od niego liczne pozdrowienia przesyłane za pośrednictwem różnych przyjaciół. Sądzę, że lord musiał opowiadać tę historię dzieciom, ponieważ sir C. Lyell pytał mnie wiele lat temu, dlaczego markiz Lansdowne (syn lub wnuk pierwszego markiza) tak interesuje się mną i moją rodziną, chociaż mnie nigdy nie widział. Gdy wybierano czterdziestu nowych członków (czterdziestu złodziei - jak ich nazywano) do klubu Ateneum, wiele osób starało się tam dostać. Wówczas lord Lansdowne nie zwracając się nawet do mnie postawił moją kandydaturę i przeprowadził wybór. Jeżeli się nie mylę w moich przypuszczeniach, było to doprawdy dziwne powiązanie wypadków. Odmówienie spożycia sera przez mojego ojca pół wieku temu w Holandii spowodowało mój wybór na członka Ateneum.

W młodości Ojciec mój robił czasem krótkie zapiski dotyczące ciekawszych wydarzeń i rozmów; przechowywał je w osobnej kopercie.

Bystrość obserwacji pozwalała mu z wielkim talentem przewidywać przebieg każdej choroby; zalecenia lecznicze opracowywał on do najdrobniejszych szczegółów. Opowiadano mi, jak pewien doktor w Shrewsbury, który nie lubił mojego Ojca, zawsze twierdził, że jego praca jest nie naukowa, lecz przy tym przyznawał mu niezrównaną zdolność przewidywania przebiegu choroby. Dawniej gdy Ojciec jeszcze myślał, że zostanę lekarzem, wiele opowiadał mi o swoich pacjentach. Dawnymi czasy powszechnie stosowano upust krwi, lecz mój Ojciec utrzymywał, że więcej wyrządza się przez to szkody niż pożytku. Radził mi, abym na wypadek choroby nie pozwolił lekarzowi pobrać sobie więcej niż minimalną dawkę krwi. Na długo przedtem nim wyodrębniono tyfus jako jednostkę chorobową, ojciec mówił mi, że dwa zupełnie różne rodzaje chorób błędnie określa się jako tyfus. Był zdecydowanym przeciwnikiem alkoholu, gdyż był przekonany o bezpośrednim i dziedzicznym, fatalnym przeważnie wpływie jego działania, i to nawet w tych przypadkach, gdy jest on spożywany w umiarkowanych ilościach, lecz regularnie. Uważał jednak i nawet przytaczał na to przykłady, że niektórzy ludzie mogą pić przez całe życie bez żadnych wyraźnych przykrych następstw dla zdrowia; twierdził, że często z góry można przewidzieć, kto nie ucierpi z tego powodu. Sam nigdy nie pił ani kropli napojów alkoholowych. Ta uwaga nasuwa mi na myśl pewne wydarzenie wykazujące, jak to świadek w najbardziej nawet sprzyjających [prawdziwości świadectwa] okolicznościach może się całkowicie mylić. Ojciec zdecydowanie ostrzegał pewnego farmera przed piciem. Zachęcał go do abstynencji, mówiąc, że sam nigdy nie bierze do ust napojów alkoholowych. Na

to usłyszał odpowiedź: "Ej, doktorze, nigdy w to nie uwierzę, bardzo to pięknie z pańskiej strony, bo mówi pan tak dla mojego dobra, ale wiem przecież, że pan co wieczór po obiedzie wypija dużą szklankę gorącego dżinu z wodą". Ojciec spytał go, skąd ma takie wiadomości. Pacjent powiedział: "Moja kucharka była u pana pomocnicą kucharki i widziała, jak każdego dnia lokaj przyrządzał i zanosił panu dżin i wodę". Dla wyjaśnienia dodam, że ojciec miał dziwny zwyczaj picia gorącej wody w dużej szklance po obiedzie. Lokaj zaś zwykł był najpierw nalewać do szklanki zimną wodę, którą dziewczyna wzięła za dżin, a następnie dopełniać gorącą wodą z kuchennego bojlera.

Ojciec opowiadał mi o wielu drobnych spostrzeżeniach, które mu pomagały w praktyce lekarskiej. Tak na przykład panie często płakały mówiąc mu o swoich troskach, co powodowało dużą stratę cennego czasu. Przekonał się wkrótce, że prośby o opanowanie się wywierały skutek wprost przeciwny. Dlatego później sam zachęcał je do płaczu, mówiąc, że to przynosi większą ulgę niż cokolwiek innego. Niezmienną reakcją na to było uspokojenie się i wówczas dopiero można się było dowiedzieć, co właściwie miały do powiedzenia, i udzielić im porady. Jeżeli ciężko chory pacjent zapragnął jakiejś dziwnej i niecodziennej potrawy, ojciec zapytywał go, co mu nasuwa myśl o niej. Jeśli odpowiadał, że nie wie, pozwalał mu zakosztować takich potraw, co często dawało dobre rezultaty. Wierzył bowiem, że chorzy miewają instynktowne zachcianki. Lecz gdy opowiadali, że słyszeli od kogoś o dobrych skutkach takiego jedzenia, zdecydowanie odmawiał swej zgody.

Pewnego razu zapoznał się z ciekawym przykładem natury ludzkiej. Był jeszcze młodym człowiekiem, gdy zawezwano go na konsylium z domowym lekarzem do pewnego gentlemana w Shropshire. Stary doktor oświadczył jego żonie, że przebieg choroby musi się skończyć niepomyślnie. Ojciec był innego zdania i utrzymywał, że pacjent wyzdrowieje. Okazało się, że mylił się całkowicie, i to pod każdym względem (wykazała to zapewne autopsja) i uznał swój błąd. Był przekonany, że już nigdy nie będzie wezwany do tej rodziny. Lecz parę miesięcy później wdowa zawezwała mego ojca odprawiawszy starego domowego lekarza. Ojciec tak był tym zdziwiony, że prosił przyjaciela wdowy, aby się dowiedział, dlaczego znów szukano u niego porady. Wdowa odpowiedziała przyjacielowi, że "nigdy więcej nie chce widzieć tego wstrętnego starego lekarza, który od razu zawiadomił ją, że mąż umrze, gdy tymczasem dr Darwin zawsze utrzymywał, że wyzdrowieje". W innym przypadku ojciec oświadczył jednej pani, że z całą pewnością musi się liczyć ze śmiercią męża. Po kilku miesiącach widział się z wdową, która była bardzo wrażliwa. Powiedziała mu: "Pan jest jeszcze bardzo młodym człowiekiem, więc pozwól pan, że udzielę mu rady; niech pan zawsze,

jak długo tylko można, pozostawia nadzieje temu, kto w rodzinie opiekuje się chorym. Wprawił mnie pan w rozpacz i od tej chwili straciłam siły". Od tego czasu, jak mówił mi ojciec, uważał on nieraz za rzecz niezmiennie dla dobra pacjenta ważną podtrzymywać nadzieję, a tym samym i siły osoby pielęgnującej. Często jednak trudno było to pogodzić z prawdą. Pewien starszy pan, p. Pemberton, uwolnił mego ojca od takiego kłopotu. Gdy bowiem został zawezwany, p. Pemberton powiedział mu: "Z tego co słyszałem o Panu, sądzę, że Pan zawsze mówi prawdę. Jeżeli bym więc zapytał o to, dowiem się na pewno, że jestem umierający. Bardzo bym pragnął, aby Pan miał mnie pod swą lekarską opieką, o ile mi Pan przyrzeknie, że cokolwiek bym mówił, zawsze usłyszę odpowiedź, że śmierć mi jeszcze nie grozi". Ojciec więc zgodził się na wygłaszanie słów, które w rzeczywistości nie będą miały żadnego znaczenia.

Ojciec posiadał nadzwyczajną pamięć, zwłaszcza do dat, tak że nawet wówczas gdy był już bardzo stary, znał daty urodzin, ślubu i śmierci całego mnóstwa osób w Shropshire. Mówił, że pamięć ta ciążyła mu, gdy raz usłyszawszy jakąś datę, nie mógł już jej zapomnieć, a to mu przypominało często o śmierci wielu przyjaciół. Dzięki doskonałej pamięci znał on olbrzymią ilość różnych dziwnych historii, które lubił i umiał zajmująco opowiadać. Zazwyczaj był w dobrym humorze, śmiał się i żartował z największą swobodą z każdym, nawet ze służbą. A przy tym każdego umiał skłonić do bezwzględного posłuszeństwa. Wiele osób wręcz go się obawiało. Przypominam sobie, jak ojciec mówił mi raz ze śmiechem, że wiele osób pytało go, czy odwiedziła go już panna Piggott (starsza pani będąca wielką osobistością w Shropshire). W końcu zapytał, dlaczego go o to pytają. Wówczas dowiedział się, że panna Piggott, którą mój ojciec miał podobno śmiertelnie obrazić, opowiadała każdemu, że odwiedzi go i powie "temu grubemu, staremu lekarzowi wprost, co o nim myśli". Rzeczywiście go odwiedziła, lecz zawiodła ją odwaga i była tak uprzejma i miła, jak nikt inny. Jako chłopiec pojechałem raz do domu majora B., którego żona była umyślowo chora. Biedna ta osoba, gdy tylko mnie ujrzała, popadła w stan tak niepohamowanego strachu, z jakim się nigdy nie spotkałem, i ustawicznie się pytała, czy przyjdzie mój ojciec. Wkrótce się jednak uspokoiła. Po powrocie do domu pytałem ojca o powód jej przerażenia. Odpowiedział mi wówczas, że cieszy się słysząc to. Nastraszył ją bowiem celowo w przekonaniu, że może ona bezpiecznie pozostawać w domu i czuć się szczęśliwszą, jeżeli tylko mąż, w momencie gdy wpada ona w stan podniecenia, będzie mógł wpływać na jej zachowanie się grożąc przyjściem dra Darwina. Aż do końca jej długiego życia słowa te działały zawsze doskonale.

Ojciec był bardzo wrażliwy, tak że często drażniły go i bolały różne drobne sprawy. Zapytałem go raz, gdy był już w podeszłym wieku i nie mógł chodzić, dlaczego nigdy nie wyjeżdża dla rozrywki. Odpowiedział mi: "Każda droga idąca z Shrewsbury kojarzy się w moim umyśle z jakimś bolesnym przypadkiem". Na ogół jednak zawsze miał dobry humor i chociaż łatwo wpadał w gniew, jego bezgraniczna dobroć zyskiwała mu powszechną i głęboką miłość.

Był też przezorny w interesach i dobrze je prowadził, tak że do wyjątków należały wypadki, by stracił zainwestowane pieniądze; toteż pozostawił swym dzieciom spory majątek. Pamiętam jedną historię świadczącą o tym, jak łatwo powstają i rozpowszechniają się z gruntu fałszywe wiadomości. Pan E., członek jednej z najstarszych rodzin w Shropshire i główny udziałowiec banku, popełnił samobójstwo. Z obowiązku zawezwano ojca, który stwierdził zgon. Aby wykazać, jak załatwiano te sprawy w owych dawnych czasach, wspomnę mimochodem, że nie zarządzono żadnego dochodzenia, ponieważ p. E. był znany i powszechnie poważany. Wracając do domu ojciec uważał za wskazane wstąpić do banku (w którym miał swój rachunek), aby powiedzieć o wypadku zarządzającemu banku, zachodziła bowiem możliwość runu na bank. Otóż rozpowiadano, że mój ojciec wstąpił do banku, podjął wszystkie swoje pieniądze, następnie wyszedł, aby wrócić za chwilę i powiedzieć: "Chciałem też zawiadomić, że p. E. popełnił samobójstwo", po czym miał odejść. Wydaje się, że ogólnie wówczas wierzono, iż pieniądze pobrane z banku są wtedy tylko pewne, gdy osoba, która je podjęła, wyszła z banku. Ojciec nie słyszał nic o tej sprawie, aż dopiero w jakiś czas później dowiedział się o tym, kiedy to zarządzający banku wspomniał, że musiał odstąpić od swej niezłomnej zasady nie ujawniania cudzych rachunków i pokazać wielu osobom księgę handlową z rachunkiem ojca, aby udowodnić, że w tym dniu ojciec nie pobrał z banku ani grosza. Byłoby to nieuczciwe ze strony ojca wykorzystywać dla własnej korzyści wynikające z pracy zawodowej wiadomości. Mimo to wiele osób podziwiała takie rzekome postępowanie i po wielu latach jeden z gentlemanów zauważył: "Oj, doktorze, co za wspaniały z pana człowiek interesu, aby tak sprytnie podjąć z banku wszystkie swoje pieniądze".

Umysł ojca nie był umysłem naukowca; nie dążył on do tego, by uporządkować swą wiedzę według jakichś praw ogólnych, jednak zawsze dla każdego wydarzenia starał się znaleźć jakieś teoretyczne wyjaśnienie. Nie sądzę, abym wiele zyskał od niego pod względem intelektualnym, lecz pod względem moralnym jego przykład przyświecał wszystkim jego dzieciom. Jedną z głoszonych przez niego złotych zasad (trudna do stosowania) brzmiała: "Nie bądź nigdy przyjacielem człowieka, do którego nie żywisz szacunku".

Co się tyczy Ojca mego ojca, autora "Ogrodu botanicznego" i in., wszystkie fakty, które zdołałem zebrać, podałem w opublikowanym jego "Życiorysie" ["Life"].

Powiedziawszy tyle o Ojcu dodam jeszcze parę słów o moim bracie i siostrach.

Brat mój Erazm odznaczał się niezwykle byстрыm umysłem, licznymi i różnorodnymi zainteresowaniami, znajomością literatury, sztuki, a nawet nauk przyrodniczych. Przez krótki czas zbierał rośliny i prowadził zielnik, przez dłuższy okres zajmował się doświadczeniami chemicznymi. Był bardzo miły, a jego dowcip przypominał mi często dowcip zawarty w listach i utworach C. Lamba. Miał bardzo czułe serce, lecz od młodych lat był słabowity, wskutek czego brakowało mu energii. Nie był wesoły z usposobienia, często był smutny, zwłaszcza w początkowym i środkowym okresie wieku dojrzałego. Jako chłopiec wiele czytał, a w szkole zachęcał mnie do czytania i dawał mi książki. Nasze umysłowości i zamiłowania były jednak tak różne, że nie sądzę, abym pod względem intelektualnym zyskał wiele od niego ani też od czterech moich sióstr, które miały bardzo różne usposobienia, a niektóre z nich odznaczały się mocnym charakterem. Przez całe życie wszyscy oni darzyli mnie nadzwyczajną dobrocią i serdecznością. Jestem skłonny zgodzić się z Franciszkiem Galtonem, że wychowanie i otoczenie wywiera niewielki tylko wpływ na umysł i że nasze właściwości są przeważnie wrodzone.

Powyższy szkic o charakterze mego brata został napisany przed ogłoszeniem "Wspomnień" ["Remembrances"] Carlyle'a, które nie zawierają, jak mi się zdaje, wiele prawdy i nie mają większej wartości.

Gdy obecnie zastanawiam się nad swoim charakterem w czasach szkolnych, dochodzę do wniosku, że jedyną zaletą, która stanowiła dla mnie dobrą wróżbę na przyszłość, było w tym okresie to, iż miałem różnorodne i silnie rozwinięte zamiłowania. Wkładałem bardzo wiele energii we wszystko, co mnie interesowało; wielką przyjemność sprawiało mi dokładne zrozumienie jakiegoś złożonego tematu lub przedmiotu. Geometrii Euklidesa uczył mnie prywatny nauczyciel i bardzo wyraźnie przypominam sobie, jak wielkie zadowolenie dawały mi przejrzyste dowodzenia geometryczne. Równie dokładnie przypominam sobie radość, jaką sprawił mi mój wuj (ojciec Franciszka Galtona) objaśniając mi zasadę skali Verniera w barometrze. Co się tyczy rozlicznych upodobań, to oprócz tego że zajmowałem się przyrodoznawstwem, bardzo chętnie czytywałem też rozmaite książki; całymi godzinami potrafiłem przesiadywać we wnęce okiennej grubych

murów szkolnych nad lekturą dramatów historycznych Szekspira. Czytywałem również inne poezje, jak na przykład świeżo wówczas ogłoszone poematy Byrona, Scotta oraz Thompsona "Pory roku". Wspominam o tym, ponieważ później, niestety, straciłem wszelkie zamiłowanie do poezji nie wyłączając i Szekspira. Mówiąc o zamiłowaniu do poezji dodam iż w 1822 roku odczułem żywy zachwyty na widok krajobrazu, jaki widziałem na krańcach Walii w czasie konnej wycieczki; wrażenie to było trwalsze od jakiegokolwiek innej przyjemności estetycznej.

W pierwszym okresie mego pobytu w szkole jeden z moich kolegów miał egzemplarz "Dziwów świata" [Wonders of the World - nie można ustalić dokładnie autora książki; według przypuszczeń rosyjskiego tłumacza "Autobiografii", Sobola (1957), mogła to być książka Thomasa Smitha; Sobol twierdzi, że w pierwszej połowie XIX w. pod tym tytułem ukazały się liczne książki różnych autorów - tłum.]; zaczytywałem się tą książką i dyskutowałem z kolegami prawdziwość niektórych podanych w niej faktów. Przypuszczam, że ta właśnie książka po raz pierwszy obudziła we mnie pragnienie podróży do dalekich krajów, co później spełniło się dzięki wyprawie na okręcie Beagle. W ostatnich latach mego pobytu w szkole stałem się namiętym amatorem polowania i myślę, że nikt nie okazał tyle zapału dla najświętszej sprawy, ile ja do strzelania ptaków. Jakże dobrze przypominam sobie ustrzelenie pierwszego bekasa. Byłem tak wzruszony, że wskutek drżenia rąk z trudnością tylko mogłem ponownie nabić strzelbę. Upodobanie to trwało długo i stałem się bardzo dobrym strzelcem. Będąc w Cambridge próbowałem składać się przed lustrem, aby wiedzieć, czy robię to prawidłowo. Inny, lepszy jeszcze sposób polegał na tym, że prosiłem kolegę, aby poruszał zapaloną świecę, a ja strzelałem do niej z kapiszonu. Jeżeli dobrze wycelowałem, prąd powietrza gasił świecę. Kapiszon eksplodował z głośnym trzaskiem i opowiadano mi, że wychowawca naszego kolegium zauważył raz: "Dziwna rzecz - zdaje się, że p. Darwin spędza całe godziny w swoim pokoju na trzaskaniu z bicia; przechodząc pod jego oknami często słyszę jakieś trzaskanie".

Wśród kolegów szkolnych miałem wielu przyjaciół, kochałem ich serdecznie; przypuszczam, że z usposobienia byłem wówczas bardzo uczuciowy. Wielu kolegów było zdolnymi uczniami, lecz zgodnie z *noscitur a socio* muszę dodać, że żaden z nich niczym specjalnym się nie wyróżnił.

Co się tyczy przyrodoznawstwa, to w dalszym ciągu z wielkim zapałem zbierałem minerały, ale w sposób zupełnie nienaukowy; szło mi jedynie o minerał z nową nazwą i prawie wcale nie próbowałem ich oznaczać. Owady za to musiałem obserwować z pewną uwagą, mając bowiem dziesięć lat (1819) wyjechałem na



trzy tygodnie nad morze, do Plas Edwards w Walii, i byłem mocno zdziwiony widokiem czarnych i szkarłatnych pluskwiaków, wielu nocnych motyli (*Zygaena*) oraz trzyszcz (Cicindella); owadów tych nie spotka się w Shropshire. Nastawiłem się na zbieranie wszelkich martwych owadów, jakie uda mi się znaleźć, gdyż po naradzie z siostrą doszedłem do wniosku, że niedobrze jest zabijać owady w celu ich kolekcjonowania. Po przeczytaniu książki White'a [Pełny tytuł popularnej książki Gilberta White'a, przyrodnika i pisarza XVIII wieku, brzmi: *The natural history and antiquities of Selborne, in the county of Southampton* - tłum] "Selborne" zacząłem z wielkim zadowoleniem obserwować obyczaje ptaków, robiłem nawet notatki i w prostocie ducha dziwiłem się, dlaczego nie wszyscy są ornitologami.

Pod koniec mego pobytu w szkole mój brat zajmował się bardzo gorliwie chemią i urządził sobie w ogrodzie, w szopie z narzędziami porządne laboratorium z niezbędną aparaturą, mnie zaś, niby swemu służącemu, zezwolił pomagać w większości doświadczeń. Otrzymywał on tam wszystkie możliwe gazy oraz liczne związki, ja zaś przeczytałem uważnie kilka książek z zakresu chemii, jak "Chemical Catechism" Henry'ego i Parkesa. Bardzo mnie to wówczas interesowało i pracowaliśmy nieraz do późnej nocy. Była to najlepsza częśćka mojej edukacji w szkole, pozwoliła mi bowiem zrozumieć znaczenie nauk doświadczalnych. O tym że zajmujemy się chemią, dowiedzieli się w jakiś sposób koledzy szkolni, a że była to bądź co bądź rzecz niezwykła, przeto otrzymałem przydomek "Gaz". Pewnego razu nawet zostałem publicznie skarcony przez samego dyrektora szkoły, doktora Butlera, za to, iż marnuję czas na tak nieużyteczne rzeczy; nazwał mnie przy tym całkowicie niesprawiedliwie *poco curante*, a że nie wiedziałem co to znaczy, uważałem to za straszną zniewagę.

Ponieważ nie wykazywałem większych postępów, ojciec (zupełnie słusznie) zabrał mnie ze szkoły znacznie wcześniej niż zwykle i wyprawił (w październiku 1825) wraz z bratem na Uniwersytet Edynburski, gdzie pozostawałem przez dwa lata, czyli dwie sesje. Brat mój kończył tam studia lekarskie, chociaż nie sądzę, aby kiedykolwiek zamierzał zająć się praktyką lekarską. Ja zaś miałem rozpocząć studia lekarskie. Wkrótce jednak na podstawie różnych drobnych spostrzeżeń doszedłem do przekonania, że ojciec pozostawi mi dość środków do życia, abym mógł się wygodnie utrzymać, aczkolwiek nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę aż tak zamożnym człowiekiem, jakim jestem. To przekonanie wystarczyło, aby mnie powstrzymało od włożenia większego wysiłku w studia medyczne.

Nauczanie w Edynburgu polegało w owych czasach wyłącznie na wykładach, a były one nieznośnie nudne, z wyjątkiem jedynie wykładów chemii Hopego. Wykłady zresztą nie dają, moim zdaniem, żadnych korzyści w porównaniu z czytaniem i raczej są szkodliwe. Wspominam niemal z przerażeniem wykłady dra Duncana z zakresu *Materia Medica*, które odbywały się w zimie o ósmej rano. Wykłady dra Munro z anatomii człowieka były równie nudne, jak wykładowca, sam zaś przedmiot budził we mnie odrazę. To jednak, że nikt nie nakłaniał mnie do robienia sekcji, okazało się bardzo niekorzystne w przyszłości, gdyż odrazę byłbym z pewnością wkrótce przewyciężył, a ćwiczenia przyniosłyby mi nieocenioną korzyść w całej mojej późniejszej pracy. Była to szkoda nie do naprawienia, podobnie jak i brak zdolności rysunkowych. Do klinik w Szpitalu uczęszczałem jednak regularnie. Pewne przypadki wywarły na mnie przygnębiające wrażenie, a obrazy niektórych z nich stoją mi dotychczas żywo przed oczyma. Nie byłem jednak tak ograniczony, abym wskutek tego miał tam rzadziej chodzić. Trudno mi zrozumieć, dlaczego ta część studiów lekarskich nie zainteresowała mnie w większym stopniu. W ciągu lata bowiem poprzedzającego wyjazd do Edynburga zacząłem leczyć niektórych biedaków, głównie dzieci i kobiety w Shrewsbury, i opisywałem, jak mogłem najdokładniej, wszelkie objawy każdego przypadku. Odczytywałem je następnie ojcu: zalecał mi on dalsze wywiady i doradzał, jakie stosować lekarstwa, które zresztą sam sporządzałem. Ojciec - doskonały znawca charakterów, najlepszy jakiego spotkałem, oświadczył nawet, że jako lekarz cieszyłbym się powodzeniem, to znaczy, że miałbym wielu pacjentów. Był on zdania, że głównym warunkiem powodzenia jest umiejętność wzbudzania zaufania, nie wiem jednak, dlaczego sądził, że będę umiał je sobie zdobywać. Byłem również dwa razy na sali operacyjnej w szpitalu w Edynburgu, gdzie widziałem dwie bardzo ciężkie operacje, z których jedną dokonaną na dziecku; uciekłem, zanim się skończyła. Nigdy już więcej nie byłem przy żadnych operacjach, nic mnie do tego nie mogło zmusić; było to na długo przed nastaniem błogosławionych dni chloroformu. Te dwa przypadki przez wiele lat nękały moją wyobraźnię.

Brat mój uczęszczał na uniwersytet jeszcze tylko przez jeden rok, tak że w ciągu następnego roku byłem pozostawiony samemu sobie. Okazało się to bardzo dla mnie korzystne, ponieważ zaznajomiłem się z kilku młodymi ludźmi, miłośnikami nauk przyrodniczych. Jeden z nich, Ainsworth, wydał później opis swych podróży po Asyrii; był geologiem, zwolennikiem poglądów Wernera i miał nieco wiadomości z wielu innych dziedzin wiedzy, lecz był powierzchowny i bardzo obrotny w języku. Dr Coldstream był młodzieńcem zupełnie innego pokroju; sztywny i suchy, głęboko religijny i pełen dobroci ogłosił później kilka dobrych

prac zoologicznych. Trzeci - Hardie - byłby jak sądzę dobrym botanikiem, gdyby nie to, że umarł młodo w Indiach. Był wreszcie dr Grant, o parę lat starszy ode mnie. Nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób się z nim zapoznałem. On również ogłosił kilka doskonałych rozpraw zoologicznych, ale uzyskawszy następnie stanowisko profesora na Uniwersytecie Londyńskim nic już więcej dla nauki nie zrobił, czego nie umiałem sobie nigdy wytłumaczyć. Znałem go zresztą bardzo dobrze. Był on oschły, sztywny w zachowaniu, jednakże pod tą powłoką kryło się wiele entuzjazmu. Kiedyśmy pewnego dnia byli razem na spacerze, zaczął z wielkim zachwytem rozprawiać o Lamarcku i jego poglądach na ewolucję. Słuchałem go z podziwem w milczeniu, lecz - jak sądzę - nie sprawiło to na mnie żadnego wrażenia. Już poprzednio czytałem "Zoonomię" mego dziadka, w której wyraził on podobne poglądy, lecz i one nie wywarły na mnie żadnego wrażenia. Niemniej jednak ta okoliczność, iż za młodu słyszałem, jak głoszą i ceniono takie poglądy, przyczyniła się zapewne do tego, że w innej wprawdzie postaci wystąpiły one później w moim "Powstaniu gatunków". W owym czasie podziwiałem bardzo "Zoonomię", lecz gdy po upływie dziesięciu czy piętnastu lat przeczytałem ją ponownie, byłem nią rozczarowany, gdyż za dużo było w niej spekulacji w stosunku do danych faktycznych.

Doktorowie Grant i Coldstream bardzo interesowali się zoologią morską. Pierwszemu z nich towarzyszyłem często przy zbieraniu zwierząt w zalewiskach po odpływie; zwierzęta te potem preparowałem w miarę moich umiejętności. Zaprzyjaźniłem się również z kilku rybakami z Newhaven; towarzyszyłem im w połowach ostryg i w ten sposób zdobywałem liczne okazy. Ponieważ jednak nie miałem regularnej praktyki w preparowaniu, a mikroskop mój był bardzo lichy, przeto moje osiągnięcia nie były zbyt zadowalające. Mimo to udało mi się dokonać jednego drobnego ciekawego odkrycia; na początku roku 1826 odczytałem krótką notatkę na ten temat na posiedzeniu Towarzystwa im. Pliniusza. Chodziło o to, iż tzw. jaja Flustra [jeden z mszywiółów morskich - tłum] mają zdolność do samodzielnego poruszania się za pomocą rzęsek. W rzeczywistości są to larwy. W innej znów rozprawce wykazałem, że drobne kuliste ciała uważane za młodociane postacie *Fucus loreus* są jajowymi torebkami robaka *Pontobdella muricata*.

Towarzystwo im. Pliniusza było popierane i, jak sądzę, założone przez profesora Jamesona. Składało się ze studentów; w jednym z pokoiów w podziemiach Uniwersytetu odbywały się zebrania, na których czytano rozprawy z dziedziny nauk przyrodniczych i dyskutowano nad nimi. Uczęszczałem regularnie na te zebrania. Wywierały one na mnie korzystny wpływ, pobudzając zapał i dając możliwość zawierania nowych znajomości z ludźmi o pokrewnych zamiłowaniach.

Pamiętam, jak jednego wieczoru wstał jakiś biedny młody człowiek, jękał się bez końca, czerwienił jak burak i wreszcie wycedził następujące słowa: "Panie Przewodniczący, zapomniałem, co właściwie miałem powiedzieć". Wyglądał biedak na bardzo skonfundowanego, inni zaś członkowie byli zdziwieni, iż nikomu nie przyszło na myśl, aby coś powiedzieć i zatuszować jego zmieszanie. Rozprawki czytane w naszym małym towarzystwie nie były ogłaszane drukiem, tak iż nie miałem satysfakcji oglądania mojej rozprawy w druku, lecz wiem, że dr Grant wspomniał o moim drobnym odkryciu w swej znakomitej rozprawie o Flustra.

Byłem również członkiem Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego i bywałem tam dość regularnie, ponieważ jednak omawiano wyłącznie zagadnienia lekarskie, przeto niewiele mnie to interesowało. Mówiono nieraz o wielu błahych sprawach, trafiali się przecież i dobrzy mówcy, wśród których najlepszym był obecny sir J. Kay-Shuttleworth. Dr Grant zabierał mnie na niekiedy na posiedzenia Towarzystwa im. Wenera, gdzie odczytywano i dyskutowano rozmaite prace z historii naturalnej, które następnie ogłaszano w "Transactions". Wysłuchałem tam kilku ciekawych odczytów Audubona o zwyczajach ptaków północnoamerykańskich. Prelegent drwił nieco niesłusznie z Watertona. Warto przy tym wspomnieć, że w Edynburgu mieszkał pewien Murzyn, który podróżował z Watertonem i zarabiał na utrzymanie wypychaniem ptaków, na czym znał się doskonale. Za drobna opłatą uczył mnie tej sztuki, toteż często u niego przesiadywałem; był to człowiek bardzo uprzejmy i inteligentny.

Pewnego razu p. Leonard Horner zabrał mnie na posiedzenie Królewskiego Towarzystwa w Edynburgu, gdzie widziałem samego sir Waltera Scotta na krześle prezydialnym. Pamiętam, jak przeproszał zebranych, twierdząc, że nie czuje się godnym zajmowania tego miejsca. Spoglądałem na niego oraz na całą scenę z czcią i szacunkiem. Właśnie - jak sądzę - dlatego że uczęszczałem w młodości na te posiedzenia, jak również na posiedzenia Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego, zostałem zaszczycony wyborem na członka honorowego obu tych Towarzystw, co cenię sobie więcej niż wiele innych podobnych odznaczeń. Gdyby mi w owym czasie powiedziano, że dostąpię kiedyś tego zaszczytu, uważałbym to za równie śmieszne i nieprawdopodobne, jak gdyby mi ktoś powiedział, że zostanę obwołany Królem Anglii.

W drugim roku mego pobytu w Edynburgu uczęszczałem na wykłady geologii i zoologii Jamesona, lecz były one niewiarygodnie nudne i tak oddziały na mnie, iż postanowiłem nigdy więcej w życiu nie brać do ręki książki o geologii, ani też w

ogóle nie studiować nauk przyrodniczych. A jednak jestem pewien, że byłem nastawiony na filozoficzne traktowanie przedmiotu. Dwa czy trzy lata przedtem stary p. Cotton w Shropshire, dobry znawca skał, pokazał mi w mieście Shrewsbury wielki gładki narzutowy, zwany dzwonem; zaznaczył on, że podobne skały można znaleźć dopiero w Cumberland lub Szkocji i zapewnił mnie najuroczyściej, iż prędzej nastąpi koniec świata, aniżeli ktokolwiek potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób ów gładki dostał się na miejsce, gdzie się obecnie znajduje. Wywarło to na mnie głębokie wrażenie i rozmyślałem o tym cudownym kamieniu. Dlatego ogromnie się ucieszyłem przeczytawszy o roli lodowców w przenoszeniu gładków i byłem pełen zachwytu dla postępów geologii. Równie uderzający jest fakt, że sam słyszałem, choć mam dopiero sześćdziesiąt siedem lat, jak w czasie wykładu terenowego w Salibury Craigs profesor Jameson rozprawiając o dajce skały bazaltowej o wykształceniu migdałowcowym na krawędziach, z warstwami zestalonymi z każdej strony i o otaczających nas skałach wulkanicznych, twierdził, że jest to szczelina od stropu wypełniona osadami. Dodał następnie drwiąco, że są i tacy, którzy utrzymują, że wypełnia się ona od dołu skałami w stanie roztopionym. Gdy przypominam sobie ten wykład, nie dziwię się, iż postanowiłem nigdy nie zajmować się geologią.

Przy okazji wykładów Jamesona zapoznałem się z kustoszem muzeum p. Macgillivrayem, który później ogłosił wielkie i doskonałe dzieło o ptakach Szkocji. Nie miał on wyglądu i manier gentlemana. Prowadziłem z nim ciekawe rozmowy na tematy przyrodnicze; był on dla mnie niezmiernie życzliwy. Dał mi nawet kilka rzadkich muszli - zbierałem wówczas mięczaki morskie, jakkolwiek bez większego zapału.

W ciągu tych dwu lat ferie letnie poświęcałem wyłącznie rozrywkom, chociaż miałem zawsze pod ręką książki, do których z ciekawością zaglądałem. W lecie 1826 wybrałem się z dwoma przyjaciółmi na pieszą wycieczkę przez północną Walię, z tornistrami na plecach. Często robiliśmy po trzydzieści mil angielskich dziennie; jeden dzień poświęciliśmy wejściu na szczyt Snowdon. Pojechałem też z siostrą Karoliną na konną wycieczkę do północnej Walii; służący wiozł nasze rzeczy przytroczone do siodła. Jesienią natomiast spędzałem na polowaniach, głównie u p. Owena w Woodhouse i u mojego wuja Josa w Maer. Mój zapał do tego był tak wielki, że kładąc się spać, stawiałem zazwyczaj buty myśliwskie przy łóżku, aby rano nie tracić ani minuty przy ich wciąganiu. Pewnego razu, a mianowicie 20 sierpnia, dotarłem do samego końca posiadłości w Maer na polowanie na cietrzewie, zanim jeszcze zaczęło świtać. Cały dzień spędziłem wówczas z leśniczym w gęstych wrzosowiskach i młodych laskach iglastych.

Prowadziłem dokładny zapis wszystkich ptaków ustrzelonych w sezonie. Gdy pewnego dnia polowałem w Woodhouse z kapitanem Owenem, jego najstarszym synem oraz jego kuzynem majorem Hillem, późniejszym lordem Berwick, których obu bardzo lubiłem, brzydko zażartowano sobie ze mnie. Ilekroć wystrzeliłem - jak mi się zdawało - celnie, jeden z nich udawał, że nabija strzelbę i wołał: "Nie licz tego ptaka, gdyż strzelałem równocześnie z tobą", co potwierdzał leśnik, przyłączając się do żartu. Dopiero po kilku godzinach przyznali się do figla, który dla mnie nie był bynajmniej miły, gdyż ustrzeliłem wiele ptactwa, a nie wiedziałem dokładnie ile i nie mogłem dodać zwierzyny do mojego rachunku, który prowadziłem w ten sposób, że każdą zabita sztukę oznaczałem węzełkiem na sznurku przywiązany do dziurki od guzika. Nie uszło to uwadze psotnych przyjaciół.

Jakąż rozkosz dawało mi polowanie. Przypuszczam jednak, że na wpół bezwiednie musiałem się zresztą wstydić tej pasji. Starłem się bowiem wmówić sobie, że polowanie jest rozrywką niemal umysłową, skoro wymaga tak wiele sprytu zarówno w wyszukaniu zwierzyny, jak i w kierowaniu psami. Szczególnie pozostała mi w pamięci jedna z moich jesiennych wizyt w Maer w roku 1827, gdyż poznałem tam wówczas sir J. Mackintosha, najlepszego ze znanych mi rozmówców. Dowiedziałem się później nie bez dumy, że miał się o mnie wyrazić: "Ten młody człowiek ma w sobie coś, co mnie zaciekawia". To jego wrażenie musiało wynikać z tego, iż z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwałem się jego opowiadaniom. Byłem bowiem zupełnym ignorantem w dziedzinie historii, polityki i filozofii moralnej, o czym przeważnie rozprawiał. Pochwała z usta tak znakomitej osobistości, choć może w pewnym stopniu wprawić w próżność, jest dla młodego człowieka rzeczą pożyteczną, gdyż zachęca go do wytrwania na właściwej drodze.

Wizyty moje w Maer w ciągu dwu lub trzech lat były zawsze cudowne, niezależnie nawet od jesiennych polowań. Pędziło się tam zupełnie swobodne życie; okolica była bardzo ładna, zachęcająca zarówno do pieszych spacerów jak i do konnych wycieczek. Wieczorem zaś spędzaliśmy czas na pogawędce, tym milszej, że nie dotyczyła żadnych spraw osobistych, jak to bywa zwykle w większym gronie rodzinnym, a także zajmowaliśmy się muzyką. Latem cała rodzina siadywała często na stopniach starego ganku, przed oczami mieliśmy ogród kwiatowy; stromy, zalesiony brzeg leżącego naprzeciw domu jeziora odbijał się w wodzie, z której tu i tam wyskakiwała ryba lub po której płynął ptak wodny. Nic nie pozostawiło w moim umyśle żywszych wspomnień nad owe wieczory w Maer. Kochałem też bardzo i szanowałem mojego wuja Josa. Był on małomówny i

powściągliwy, tak że raczej wzbudzał pewien lęk, że mną jednak rozmawiał niekiedy bardzo szczerze. Reprezentował on typ człowieka niezmiernie prawego, obdarzonego jasnym sądem. Przypuszczam, że żadna siła na ziemi nie zmusiłaby go do odstąpienia od czegoś, co uważał za słuszne. Do niego odnosiłem w duchu znana odę Horacego - teraz już jej nie pamiętam - w której są słowa: *Nec vultus tyranni* itd.

### **Cambridge, 1828-1831**

Po dwóch latach spędzonych w Edynburgu ojciec zauważył, czy też dowiedział się od moich sióstr, że niechętnie myślę o zawodzie lekarskim. Zaproponował mi więc, abym został pastorem. Bardzo obawiał się tego, że stanę się rozpróznionym sportowcem, na co się wówczas zanosilo. Prosiłem przeto, aby zostawił mi jakiś czas do namysłu, ponieważ z tego, co o tym słyszałem i myślałem, nie byłem pewny, czy potrafię uznać wszystkie dogmaty Kościoła Anglikańskiego. Z drugiej strony pociągała mnie myśl zostania wiejskim pastorem. Przeczytałem więc uważnie "On the Creed" Pearsona i kilka innych książek z dziedziny teologii. Ponieważ zaś nie żywiłem wówczas najmniejszej nawet wątpliwości co do ścisłej i literalnej prawdziwości każdego słowa Biblii, przeto doszedłem do wniosku, że trzeba przyjąć naszą Wiarę w całości. Nigdy nie zwróciłem na to uwagi, jak nielogicznie jest mówić, że wierzę w coś, czego nie mogę zrozumieć, i co w rzeczywistości jest niepoznawalne. Mogę wyznać szczerze, że nie zamierzałem dyskutować o żadnym z dogmatów, lecz nie byłem nigdy tak głupi, aby czuć i mówić: *credo quia incredibile*.

Zważywszy, jak zaciekle byłem atakowany przez ortodoksów, wydaje się śmieszne, że kiedyś zamierzałem zostać duchownym. Nigdy zresztą ten zamiar i życzenie mojego ojca nie były formalnie zaniechane, lecz umarły śmiercią naturalną, gdy opuszczając Cambridge zostałem przyjęty na okręt Beagle jako przyrodnik. Jeżeli można ufać frenologom, to pod jednym względem byłem odpowiednim kandydatem na duchownego. Parę lat temu sekretarze niemieckiego towarzystwa psychologicznego prosili mnie bardzo o przysłanie im mojej fotografii. W jakiś czas później otrzymałem sprawozdanie z jednego z posiedzeń, na którym, jak się zdaje, przedmiotem publicznej dyskusji był kształt mojej głowy. Jeden z mówców oświadczył, że mój guz Czcigodności [the bump of Reverence] jest tak silnie rozwinięty, że wystarczyłby dla dziesięciu duchownych.

Ponieważ postanowiono, że zostanę duchownym, musiałem dla uzyskania stopnia naukowego wstąpić na któryś z uniwersytetów angielskich. Od czasu gdy

opuściłem szkołę, nie miałem wszakże w ręku żadnej książki klasycznej i stwierdziłem z przerażeniem, że w ciągu ubiegłych dwu lat zapomniałem prawie wszystkiego, czego się dawniej nauczyłem, z wyjątkiem kilku liter greckich. Dlatego nie pojechałem do Cambridge w normalnym czasie w październiku, lecz pracowałem z prywatnym nauczycielem w Shrewsbury. Do Cambridge wyjechałem po wakacjach Bożego Narodzenia z początkiem 1828 r. W krótkim czasie osiągnąłem dawny poziom szkolny i mogłem bez większego wysiłku tłumaczyć łatwe dzieła greckie, na przykład Homera i grecki tekst Ewangelii [Greek Testament].

Jeżeli jednak chodzi o studia uniwersyteckie, to trzyletni okres pobytu w Cambridge był taką samą stratą czasu jak pobyt w Edynburgu i w szkole. Próbowałem zajmować się matematyką i nawet latem 1828 r. pojechałem w tym celu z prywatnym nauczycielem (strasznie nudnym człowiekiem) do Barmouth, lecz robiłem słabe postępy. Praca ta była dla mnie odpychająca głównie dlatego, że nie mogłem dopatrzeć się sensu w elementarnych zasadach algebry. Bardzo głupi był ten brak cierpliwości i po latach głęboko żałowałem, że nie pracowałem choćby tyle, aby zrozumieć coś niecoś z głównych przewodnich zasad matematyki, gdyż ludzie wyposażeni w te wiadomości posiadają jakby jakiś dodatkowy zmysł. Wątpię jednak, czy potrafiłbym osiągnąć coś więcej niż tylko najniższy stopień wiedzy. Co się tyczy studiów klasycznych, to poza tym że chodziłem na kilka obowiązkowych wykładów, nie robiłem nic, a i uczęszczanie na wykłady było czysto nominalne. Za to w drugim roku studiów musiałem popracować miesiąc lub dwa, aby złożyć pierwszy egzamin [Little Go], co przyszło mi z łatwością. W ostatnim roku natomiast pracowałem poważnie, przygotowując się do uzyskania stopnia B. A. [Bachelor of Arts - pierwszy stopień naukowy, osiągany w Anglii po zakończeniu studiów uniwersyteckich - tłum.], powtarzając klasyków, początki algebry i geometrię Euklidesa. Ta ostatnia sprawiała mi podobnie jak w szkole wiele przyjemności. Aby osiągnąć B. A., trzeba było poznać dokładnie Paleya "Evidences of Christianity" i jego "Moral Philosophy". Przystudiowałem je bardzo sumiennie i jestem przekonany, że mógłbym wówczas z całą dokładnością napisać "Evidences" z pamięci, jakkolwiek oczywiście nie tak jasnym stylem jak Paley. Logika tej książki, jak i jego "Natural Theology" zachwycała mnie podobnie jak geometria Euklidesa. Staranne studiowanie tych dzieł, poza uczeniem się na pamięć niektórych ustępów, było tą częścią moich studiów uniwersyteckich, którą wtedy, a także i dzisiaj uważam za jedyną w pewnym stopniu korzystną rzecz dla mojego rozwoju umysłowego. Nie niepokoiły mnie wtedy przesłanki Paleya, a ponieważ przyjmowałem je na wiarę, byłem oczarowany i przekonany o słuszności całej jego argumentacji. Ponieważ na egzaminie odpowiadałem dobrze na pytania z



Paley, zdałem dobrze geometrię i nie obciążałem się z przedmiotów klasycznych, zdobyłem dobre miejsce wśród, to jest wśród wielu zdających, którzy nie dążyli do uzyskania odznaczeń. Dziwne, że nie mogę sobie przypomnieć, jakie właściwie zająłem miejsce; o ile mnie pamięć nie myli, było to któreś między piątym a dziesiątym lub dwunastym miejscem.

Na uniwersytecie odbywały się również wykłady publiczne z różnych dziedzin, na które każdy mógł uczęszczać, lecz w Edynburgu nabrałem takiego wstrętu do wykładów, że nie chodziłem nawet na dobre i interesujące wykłady Sedgwicka. Może gdybym słuchał jego wykładów, stałbym się geologiem wcześniej, niż to w rzeczywistości nastąpiło. Chodziłem natomiast na wykłady botaniki Henslowa i bardzo je lubiłem, gdyż odznaczały się nadzwyczajną jasnością i były wspaniale ilustrowane, ale nie studiowałem botaniki. Henslow miał zwyczaj zbierać swych uczniów i niektórych starszych członków uniwersytetu [members of the University] na piesze wycieczki polne lub koniem do dalszych miejscowości bądź też łodzią w dół rzeki; robił wtedy wykłady o napotkanych przez nas rzadkich roślinach bądź zwierzętach. Wycieczki te były doprawdy zachwycające.

Jakkolwiek mój pobyt w Cambridge miał, jak to zaraz zobaczymy, jaśniejsze strony, czas ten był dla mnie na nieszczęście zmarnowany, a nawet gorzej niż zmarnowany. Moja pasja strzelecka i myśliwska, a gdy tego czasem zabrakło - zamiłowanie do konnych wycieczek, pchnęły mnie w grono sportowców, w którym było sporo hulaszczej i ograniczonej młodzieży. Często wieczorem jadaliśmy razem obiad, choć trzeba zaznaczyć, że w zebraniach tych brali czasem udział również ludzie wyższej klasy; niekiedy piliśmy za dużo, podśpiewywaliśmy wesoło, graliśmy w karty. Wiem, że powinienem się wstydzić tak spędzanych dni i wieczorów; ponieważ jednak niektórzy z moich przyjaciół byli bardzo sympatyczni i nastrój był nieraz bardzo miły, wspominam te czasy z wielką przyjemnością.

Z zadowoleniem jednak muszę przyznać, że miałem też wielu przyjaciół zupełnie innego pokroju. Zaprzyjaźniłem się serdecznie z Whitleyem, który był później seniorem prymusem [Senior Wrangler - w tym przypadku chodzi zapewne o to, że Whitley został laureatem Uniwersytetu w Cambridge w zakresie matematyki - tłum], i chodziłem z nim często na dalekie spacery. Rozbudził on we mnie upodobanie do obrazów i dobrych sztychów; kupiłem wtedy kilka obrazów. Często chodziłem do galerii Fitzwilliana i musiałem mieć całkiem dobry smak, gdyż zachwyciłem się niewątpliwie najlepszymi obrazami, o których dyskutowałem ze starym kustoszem. Czytałem także z wielkim zaciekawieniem dzieło sir J.

Reynoldsa [Darwin ma zapewne na myśli jego wykłady z estetyki, wydane w r. 1778 - tłum]. Chociaż to zamiłowanie nie było dla mnie czymś naturalnym, to jednak trwało ono wiele lat i wiele obrazów w Narodowej Galerii w Londynie wywoływało u mnie uczucie przyjemności, a jeden obraz Sebastiana del Piombo budził we mnie poczucie wzniosłości.

Dostałem się także do pewnego muzycznego grona, zdaje się przez mego serdecznego przyjaciela Herberta, który był prymusem. Dzięki towarzystwu tych ludzi i słuchaniu ich gry nabrałem wielkiego zamiłowania do muzyki i często tak układałem moje spacerowanie w dni powszednie, aby posłuchać hymnów w kaplicy King College. Sprawiało mi to tak wielką rozkosz, że niekiedy dreszcze przebiegały mi po plecach. Jestem pewny, że nie była to afektacja czy też udawanie, gdyż zazwyczaj chodziłem do King College zupełnie sam; czasami zaś wynajmowałem chłopców z chóru, aby śpiewali u mnie w pokoju. Mimo to jestem tak całkowicie pozbawiony słuchu, że nie umiem poznać dysonansu ani też poprawnie i do taktu coś zanucić; jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób muzyka mogła mi sprawiać tyle przyjemności.

Moi muzycy przyjaciele wkrótce odkryli ten stan rzeczy i czasem zabawiali się egzaminowaniem mnie. Egzamin ten polegał na stwierdzeniu, ile melodii będę w stanie rozpoznać, gdy są one grane szybciej lub wolniej niż zwykle. Jeżeli zagrano w ten sposób hymn "God save the King", stawał się on trudną zagadką. Był w naszym gronie jeszcze jeden kolega, który tak samo jak ja nie miał słuchu i, o dziwo, grywał trochę na flecie. Raz odniosłem tryumf zwyciężając go w naszych egzaminach muzycznych.

Żadnemu jednakże zajęciu nie oddawałem się w Cambridge z takim zapalem i żadne nie sprawiało mi tyle przyjemności, co zbieranie chrząszczy. Była to tylko pasja kolekcjonerska, gdyż nigdy nie robiłem sekcji i rzadko tylko porównywałem ich cechy zewnętrzne z publikowanymi opisami, pobieżnie je tylko oznaczając. Oto przykład mojej pasji. Pewnego dnia odrywając kawałek starej kory zobaczyłem dwa rzadkie chrząszcze i wziąłem każdego z nich do jednej ręki. Wkrótce dostrzegłem jeszcze innego - trzeciego. Nie chcąc go utracić, włożyłem chrząszcza z prawej ręki do ust. Lecz wtedy wytrysnął on niezwykle ostrą cieczą, która tak mnie piekła w język, że musiałem go wypluć; w ten sposób straciłem i tego chrząszcza, i trzeciego.

Miałem wielkie osiągnięcia w kolekcjonowaniu i wynalazłem dwie nowe metody. Wynajmowałem robotnika, któremu poleciłem zeskrobywać w zimie mech ze starych

drzew, wkładać go do worka, a także zbierać różne odpadki z dna łodzi, na których przewożono z bagien trzcinę; w ten sposób zdobyłem kilka bardzo rzadkich gatunków. Żaden chyba poeta nie odczuł większej radości na widok swego pierwszego wydrukowanego utworu niż ja widząc u Stephena w "Illustrations of British Insects" magiczne słowa, "schwyte przez C. Darwina, Esq". Do zajmowania się entomologią zachęcił mnie mój daleki kuzyn, W. Darwin Fox, zdolny i nadzwyczaj miły człowiek, który był wówczas w Christ College i z którym pozostawałem w wielkiej zażyłości. Później bardzo się zbliżyłem do Alberta Waya z Trinity College, z którym zbieraliśmy razem owady. Po latach stał się bardzo znanym archeologiem. Podobnie było z H. Thompsonem z tego samego College; został on później wybitnym agronomem, prezesem wielkiego towarzystwa kolei żelaznych i członkiem parlamentu. Stąd można by wnioskować, że pasja do zbierania chrząszczy jest zapowiedzią powodzenia w dalszym życiu.

Jest rzeczą zaskakującą, jak niezatarte wrażenie wywarły na mnie chrząszcze schwyte w Cambridge. Do dziś zachował się jasno w mej pamięci wygląd niektórych słupów, starych drzew i miejsc nadbrzeżnych, gdzie udało mi się dokonać obfitych połowów. Piękny *Panagaeus cruxmajor* był prawdziwym skarbem w owych czasach; tu w Down dostrzegłem raz biegnącego po dróżce chrząszcza, a podniósłszy go poznałem natychmiast, iż tylko nieznacznie różnił się od *P. crux-major*. Okazało się, że był to *P. quadripunctatus*, który jest tylko odmianą lub bardzo blisko spokrewnionym i mało różniącym się w pokroju gatunkiem. W owych dawnych czasach nie spotkałem nigdy żywego *Licinus*, który dla niewprawnego oka nie różni się prawie od wielu *Carabidae*. Lecz kiedy moi synowie znaleźli ten jeden okaz, od razu poznałem, że to nowy dla mnie gatunek, chociaż w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie przyglądałem się żadnemu z brytyjskich chrząszczy.

Nie wspominałem jeszcze o okoliczności, która wywarła na całą moją karierę naukową wpływ większy niż cokolwiek innego. Była to przyjaźń z prof. Henslowem. Jeszcze zanim przybyłem do Cambridge, słyszałem o nim od brata jako o człowieku znającym wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych, a zatem już z góry darzyłem go głębokim szacunkiem. Raz w tygodniu przyjmował on w swym domu studentów i starszych członków uniwersytetu, zajmujących się naukami przyrodniczymi [Klub Raya w Cambridge (The Ray Club), który w 1887 r. obchodził 50 rocznicę, wywodzi się bezpośrednio z tych piątkowych wieczorów Henslowa, na krótko zawieszonych w 1836 r. (Wg notki F. Darwina zamieszczonej w wydaniu "Autobiografii" z 1958 r., s. 64) - tłum.]. Zostałem zaproszony za pośrednictwem Foxa i zacząłem tam bywać regularnie. Wkrótce bardzo się

zbliżyłem do Henslowa i w drugiej połowie pobytu w Cambridge codziennie chodziłem z nim na dalekie spacerunki, tak że niektórzy z naszych opiekunów mówili o mnie: "Ten co chodzi z Henslowem". Wieczorami często zapraszał mnie do siebie na obiad. Posiadał on szeroką wiedzę w zakresie botaniki, entomologii, chemii, mineralogii i geologii. Miał szczególne upodobanie do konstruowania wniosków na podstawie długich szeregów drobiazgowych obserwacji. Jego sądy były niezmiernie trafne, a umysł doskonale zrównoważony. Nie sądzę jednak, by ktokolwiek mógł powiedzieć, iż miał on umysł bardzo oryginalny.

Był głęboko religijny i tak prawowierny, że - jak mi to kiedyś oświadczył - bardzo by go zmartwiło, gdyby zmieniono choć jedno słowo w Trzydziestu Dziewięciu Artykułach [Thirty-nine Articles - 39 artykułów anglikańskiego wyznania sformułowanych przez reformatorów Kościoła Angielskiego (Church of England) w 1563 r. - tłum.]. Jego moralne zalety były pod każdym względem godne podziwu. Nie było w nim śladu próżności lub innych małostkowych uczuć i nie widziałem nikogo, kto by równie mało myślał o sobie i o swoich własnych sprawach. Zachowywał zawsze dobry humor, odznaczał się niezmiernie ujmującym i uprzejmym sposobem bycia; jednakże, jak się o tym przekonałem, wobec złego postępuku był on zdolny do najwyższego wzburzenia i zdecydowanego działania. Pewnego razu idąc w jego towarzystwie byłem świadkiem potwornego zajścia na ulicy Cambridge, przypominającego sceny z Rewolucji Francuskiej. Zaareztowano dwóch wykradaczy zwłok i gdy prowadzono ich do więzienia, tłum wyrwał ich z rąk policjanta i włókł za nogi wzdłuż zabłoconej, brukowanej ulicy. Od stóp do głów byli ochlapani błotem, a twarze krwawiły od razów i kamieni; wydawało mi się, że to już trupy; co prawda tłum był tak gęsty, że tylko kilka razy udało mi się rzucić okiem na nieszczęśników. Nigdy w życiu nie widziałem na ludzkiej twarzy wyrazu takiego wzburzenia, jakie wystąpiło u Henslowa wobec tej okropnej sceny. Kilka razy próbował on przebić się przez tłum, lecz było to po prostu niemożliwe. Pobiegł więc do burmistrza, mówiąc mi, bym nie szedł za nim, lecz spróbował sprowadzić więcej policjantów. Nie pamiętam już, co było dalej, lecz wiem jednak, że obu złoczyńców doprowadzono do więzienia żywych.

Dobroczynność Henslowa nie miała wprost granic. Dowodem tego był szereg doskonałych przedsięwzięć organizowanych na rzecz jego ubogich parafian, gdy po latach zamieszkał w Hitcham. Przyjaźń z takim człowiekiem powinna przynieść i, jak myślę, istotnie przyniosła mi nieocenione korzyści. Nie mogę nie wspomnieć o jeszcze jednym drobnym zdarzeniu, świadczącym o jego niezmiernej delikatności. Pewnego razu przyglądając się kilku ziarnom pyłku na wilgotnym podłożu zauważyłem, że wypuszczają one łagiewki. Pobiegłem więc natychmiast

do niego, by go powiadomić o moim zadziwiającym odkryciu. Sądzę, że żaden inny profesor botaniki nie mógłby wstrzymać się od śmiechu na widok pośpiechu, z jakim przyniosłem taką wiadomość. Tymczasem Henslow przyznał, że zjawisko jest bardzo ciekawe, dając mi przy tym do zrozumienia, że jest ono dobrze znane. Pożegnałem go więc nie odczuwając żadnego upokorzenia; przeciwnie - byłem naprawdę zadowolony, że udało mi się odkryć tak ciekawy fakt. Postanowiłem jednak w przyszłości nie spieszyć tak bardzo z ogłaszaniem moich odkryć.

Jednym ze starszych i znakomitszych ludzi odwiedzających czasem Henslowa był dr Whewell; często zdarzało się, że wracałem z nim późnym wieczorem do domu. Obok sir J. Mackintosha był to pośród znanych mi najlepszy towarzysz rozmów na poważne tematy. Często przebywał u Henslowa jego szwagier, Leonard Jenyns (wnuk słynnego Soamesa Jenynsa), który później ogłosił kilka cennych rozpraw z historii naturalnej. Początkowo nie lubiłem go za jego nieco ponury i sarkastyczny wyraz twarzy; rzadko się zdarza, by pierwsze wrażenie się zatarło, jednakże tym razem omyliłem się, gdyż był to człowiek bardzo uprzejmy, miły i pełen humoru. Odwiedzałem go w jego probostwie na granicy Fens (Swaffham Bulbeck) [nawias wprowadzony przez N. Barlew w wydaniu "Autobiografii" z 1958 r. - tłum.]; często chodziliśmy razem na piękne spacerunki i prowadziliśmy rozmowy na tematy przyrodnicze. Poznałem też wielu innych ludzi starszych ode mnie, którzy wprawdzie nie zajmowali się naukami przyrodniczymi, ale byli przyjaciółmi Henslowa. Jednym z nich był Szkot, brat sir Aleksandra Ramsaya i wychowawca w Jesus College; był to przemiły człowiek, lecz nie żył długo. Był jeszcze p. Dawes, później dziekan w Hereford; wstawił się on dużymi osiągnięciami w dziedzinie oświaty dla ubogich. Ci i inni tego samego pokroju ludzie urządzali czasem z Henslowem dalekie wycieczki, do których pozwalano mi się przyłączać; były one nadzwyczaj przyjemne.

Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że musiało we mnie być coś takiego, co przekraczało przeciętny poziom młodzieży, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie dopuściliby mnie do towarzystwa ludzie, o których mówiłem, o wiele ode mnie starsi i zajmujący wyższe stanowiska akademickie. Na pewno nie byłem świadom swej wyższości. Pamiętam bowiem, jak jeden z moich przyjaciół sportowców Turner, widząc mnie, jak pracowałem nad chrząszczami, powiedział, iż pewnego dnia zostanę członkiem Towarzystwa Królewskiego i myśl ta wydała mi się niedorzeczna.

W ciągu ostatniego roku mego pobytu w Cambridge czytałem uważnie i z głębokim zaciekawieniem Humboldta "Personal Narrative". Dzieło to, podobnie jak i sir J.

Herschela "Introduction to the Study of Natural Philosophy", obudziło we mnie gorące pragnienie dołożenia choćby najskromniejszej cegiełki do wzniosłego gmachu Nauk Przyrodniczych. Żadna inna książka czy nawet tuzin nie wywarły na mnie nawet w przybliżeniu takiego wpływu jak te dwa dzieła. Z Humboldta przepisywałem nawet długie ustępy o Teneryfie i czytałem je głośno na jednej z wyżej wspomnianych wycieczek - zdaje mi się - Henslowowi, Ramsayowi i Dawesowi, gdyż już poprzednio mówiłem wiele o pięknie Teneryfy; oświadczyli oni, że chętnie by tam pojechali. Nie przypuszczam jednak, aby mówili to całkiem serio. Ja natomiast myślałem o tym zupełnie poważnie i nawet uzyskałem polecenie do pewnego londyńskiego kupca, który miał mi udzielić informacji o okrętach. Cały plan oczywiście spełził na niczym z powodu podróży na okręcie Beagle.

W czasie letnich wakacji zajmowałem się zbieraniem chrząszczy, czytaniem i robiłem krótkie wycieczki. W jesieni natomiast cały czas poświęcałem polowaniu w Woodhouse i Maer, a czasami z młodym Eytonem w Eyton. W sumie te trzy lata, które spędziłem w Cambridge, były najprzyjemniejsze w moim życiu, cieszyłem się bowiem wówczas doskonałym zdrowiem i prawie zawsze dobrym humorem.

Ponieważ przyjechałem po raz pierwszy do Cambridge w okresie Bożego Narodzenia, musiałem po moim ostatecznym egzaminie pozostać tam jeszcze przez dwa okresy [two terms], czyli do początku 1831 r., i Henslow skłonił mnie wtedy do rozpoczęcia studiów geologicznych. Dlatego po moim powrocie do Shropshire zająłem się badaniem przekrojów i sporządziłem barwną mapę okolic Shropshire. Profesor Sedgwick zamierzał z początkiem sierpnia zwiedzić północną Walię, aby kontynuować swe słynne geologiczne badania starych utworów skalnych i Henslow uprosił go, aby mi pozwolił sobie towarzyszyć. W związku z tym przyjechał do nas i nocował w domu mego Ojca.

Krótką rozmową, jaką miałem z nim tego wieczoru, wywarła na mnie silne wrażenie. Gdy kiedyś badałem stare żwirowisko w pobliżu Shrewsbury, jeden z robotników opowiadał, że znalazł starą zniszczoną skorupę tropikalnego gatunku *Voluta*, taką jakie się widuje na kominkach w domach wiejskich. Ponieważ nie chciał mi jej sprzedać, byłem przekonany, że rzeczywiście znalazł ją w żwirowisku. Powiedziałem o tym Sedgwickowi. Zapewnił mnie niezwłocznie (i bez wątplenia słusznie), że musiała ona zostać przez kogoś wrzucona do żwirowiska. Dodał jednak, że jeżeliby rzeczywiście miała stamtąd pochodzić, to byłoby to największym nieszczęściem dla geologii, gdyż przeczyłoby to

wszystkiemu, co wiemy o powierzchniowych pokładach w hrabstwach centralnych. Owe pokłady zwirowisk należą do okresu lodowcowego i w latach późniejszych znajdowałem w nich kawałki muszli arktycznych. Wówczas jednak bardzo się dziwiłem, że Sedgwick wcale nie był zachwycony faktem znalezienia tropikalnej muszli tak blisko powierzchni, w środku Anglii. Chociaż czytałem już wtedy wiele dzieł naukowych, to jednak nic mi nie pomogło tak jasno zrozumieć, iż nauka polega na takim grupowaniu faktów, by z tego wynikały ogólne prawa czy też wnioski.

Następnego ranka wyruszyliśmy do Llangollen, Conway, Bangor i Capel Curig. Wyprawa ta przyniosła mi wyraźną korzyść, nauczyła mnie bowiem co nieco, jak należy badać geologię jakiegoś obszaru. Sedgwick często wyznaczał mi drogę równoległą do własnej i polecał zbierać próbki skał i zaznaczać na mapie przebieg warstw. Nie mam wątpliwości, że robił to dla mojego dobra, gdyż zanadto byłem ignorantem, bym mógł mu istotnie dopomóc. Na tej wycieczce przekonałem się, jak łatwo umykają uwadze nawet rzucające się w oczy zjawiska, jeśli przedtem nikt inny nie zwrócił na nie uwagi. Spędziliśmy wiele godzin w Cwm Idwal badając z wielką uwagą skały, ponieważ Sedgwick pragnął bardzo znaleźć w nich skamieliny. Lecz żaden z nas nie dostrzegł wówczas otaczających nas dookoła śladów cudownych zjawisk lodowcowych. Nie zauważyliśmy ani wyraźnie zarysowanych skał, ani nagromadzonych jedne na drugich głazów narzutowych, ani bocznych i końcowych moren. A jednak te zjawiska są tak widoczne, że jak podałem w pracy ogłoszonej wiele lat później w "Philosophical Magazine", dom strawiony przez ogień nie świadczyłby o swej historii bardziej wyraziście, niż ta dolina o swojej. Gdyby była ona jeszcze wypełniona przez lodowiec, zjawiska te byłyby mniej wyraźne niż obecnie.

W Capel Curig pożegnałem Sedgwicka i kierując się kompasem poszedłem przez góry do Barmouth na przełaj, nie korzystając z żadnej z dróg, jeżeli nie zdążała w moim kierunku. W ten sposób docierałem do dziwnych dzikich miejsc i wędrowka ta sprawiała mi wiele radości. Zwiedziłem Barmouth, gdzie widziałem się z kilkoma kolegami z Cambridge, którzy tam bawili, a następnie powróciłem do Shrewsbury i do Maer na polowanie. W tym bowiem czasie uważałbym się za pomyłonego, gdybym geologii lub jakiejś innej nauce poświęcił polowanie na kuropatwy.

**PODRÓŻ NA OKRĘCIE BEAGLE: OD 27 GRUDNIA 1831 DO 2 PAŹDZIERNIKA 1836 R.**

Wróciwszy do domu z mojej krótkiej geologicznej wyprawy po północnej Walii znalazłem list od Henslowa zawiadamiający mnie, że kapitan Fitz-Roy skłonny jest odstąpić część swojej kajuty jakiemuś młodemu człowiekowi, który by na ochotnika, bez wynagrodzenia zgodził się uczestniczyć jako naturalista w podróży okrętu Beagle. W rękopisie mojego dziennika opisałem, jak się zdaje, wszystkie wydarzenia, które wówczas miały miejsce. Obecnie dodam tylko, że bardzo pragnąłem przyjąć tę propozycję, lecz mój ojciec zdecydowanie się temu sprzeciwił, na szczęście dla mnie dodając: "Jeżeli znajdziesz jakiegokolwiek człowieka ze zdrowym rozsądkiem, który radziłby ci jechać, będziesz miał moją zgodę. Napisałem wszakże tego wieczoru odmowną odpowiedź. Następnego ranka pojechałem do Maer, aby przygotować się na 1 września do polowania, w czasie którego wuj przysłał po mnie, ofiarowując się pojechać ze mną do Shrewsbury i pomówić z ojcem. Ponieważ wuj uważał, że byłoby rozsądnie przyjąć tę ofertę, a mój ojciec zawsze twierdził, że wuj jest bardzo mądrym człowiekiem, z największą chęcią udzielił swej zgody. W Cambridge byłem raczej rozrzutny, więc aby pocieszyć ojca, powiedziałem: "musiałbym być diabło sprytny, aby na pokładzie okrętu Beagle wydać więcej niż wyznaczoną mi sumę". Na to ojciec odpowiedział z uśmiechem: "Ależ właśnie wszyscy mi mówią, że jesteś bardzo sprytny".

Następnego dnia pojechałem do Cambridge, aby zobaczyć się z Henslowem, a stamtąd do Londynu na spotkanie z Fitz-Royem; wkrótce załatwiłem wszystko. Później, gdy zżyłem się z Fitz-Royem, dowiedziałem się, że o mały włos moja kandydatura byłaby odrzucona ze względu na kształt mojego nosa. Fitz-Roy był gorącym wyznawcą poglądów Lavatera i był przekonany, że z rysów twarzy można poznać człowieka. Wątpił przeto, czy ktoś z nosem takim jak mój wykaże się dostatecznym stopniem energii i stanowczości koniecznej w czasie podróży. Później jednak, jak się zdaje, był bardzo zadowolony z tego, że mój nos fałszywie świadczył o mnie.

Fitz-Roy odznaczał się dosyć osobliwym charakterem, choć miał wiele cech szlacheckich. Bardzo obowiązkowy, wyrozumiały wobec błędów, śmiały, stanowczy, niezmiernie energiczny był równocześnie prawdziwym przyjacielem wszystkich swych podwładnych. Nie cofnąłby się przed podjęciem jakiegokolwiek trudu, aby pomóc tym, którzy według jego zdania zasługiwali na to. Był to piękny mężczyzna, prawdziwy gentleman, odznaczał się wysoce uprzejmym obejściem, podobnie jak jego wuj, sławny lord Castlereagh, jak mi to mówił poseł angielski w Rio. Przy tym musiał odziedziczyć on coś z wyglądu po Karolu II, jak sędzę o tym ze zbioru fotografii otrzymanych od dra Wallicha. Uderzyło mnie podobieństwo jednej z nich do Fitz-Roya. Spojrzawszy na nazwisko stwierdziłem, że przedstawia



ona Ch. E. Sobieskiego Stuarta, hrabiego Albany [jak podaje Franciszek Darwin, pochodzenie hrabiego Albany z rodu królewskiego jest mitem], nieprawego potomka tego monarchy.

Usposobienie Fitz-Roya było wysoce nieszczęśliwe. Ujawniało się to nie tylko w wybuchach gniewu, ale i w napadach długotrwałej gderliwości w stosunku do tego, kto go uraził. Zazwyczaj w najgorszym usposobieniu był wczesnym rankiem i swym orlim okiem zawsze wypatrywał, że na okręcie coś jest nie w porządku, a wówczas nie szczędził słów nagany. Młodszy oficerowie przy porannej zmianie zwykli byli pytać, "czy podawano dużo kawy rano", co było równoznaczne z pytaniem o humor kapitana. Był on nieco podejrzliwy i czasami wpadał w przygnębienie, co pewnego razu wręcz wyglądało na obłęd. Czasem wydawało mi się, że zawodzi go trzeźwy sąd i zdrowy rozum. Dla mnie był wyjątkowo uprzejmy, lecz trudno było się z nim zżyć w jednej kajucie i przy wspólnym stole. Często kłóciliśmy się; gdy wpadał w rozdrażnienie, stawał się zupełnie nierozsądny. Tak np. na początku podróży, gdyśmy byli w Bahia w Brazylii, zaczął bronić i zachwalać niewolnictwo, które dla mnie było rzeczą wstrętną, i oświadczył, że właśnie gościł u wielkiego właściciela niewolników, który przywołał wielu z nich i pytał, czy są szczęśliwi i czy życzyliby sobie uzyskać wolność, na co wszyscy odpowiedzieli: "Nie". Spytałem go wówczas, zapewne nie bez drwiny, czy uważa, że odpowiedzi niewolników w obecności ich pana mają jakąkolwiek wartość. Strasznie go to rozgniewało. Powiedział, że nie możemy razem dłużej mieszkać, ponieważ wątpię o prawdziwości jego słów. Myślałem, że będę musiał porzucić okręt, lecz gdy tylko nowina rozeszła się - a rozeszła się szybko, bo kapitan posłał po pierwszego porucznika, aby sobie ulżyć wylewając przed nim całą złość na mnie - z wielką satysfakcją otrzymałem od wszystkich oficerów propozycję wspólnego mieszkania. Po kilku wszakże godzinach Fitz-Roy okazał swą zwykłą wspaniałomyślność posyłając po mnie oficera z przeprosinami i prośbą, abym z nim dalej mieszkał. Przypominam sobie inny przykład jego bezpośredniości. Jeszcze przed wyjazdem z Plymouth okropnie się rozgniewał na handlarza naczyń, który odmówił wymienienia pewnych przedmiotów zakupionych w jego sklepie. Kapitan spytał wtedy kupca o cenę bardzo kosztownego serwisu porcelanowego i rzekł: "Kupiłbym to, gdyby nie był Pan tak nieuprzejmy". Wiedziałem, że jego kajuta jest dosłownie zapchana wszelkimi naczyniami, zwątpiłem więc o szczeroci tego zamiaru. Nie powiedziałem ani słowa, musiało to wszakże odbić się na mojej twarzy. Opuszczając sklep, popatrzył on na mnie i zapytał, czy nie wierzę temu, co mówił i musiałem to potwierdzić. Milczał parę minut, a następnie powiedział, że mam rację i że postąpił niewłaściwie ze złości na tego łajdaka.

W Concepcion w Chile biedny Fitz-Roy był strasznie przepracowany i bardzo przygnębiony. Uskarżał się gorzko przede mną, że musi wydać wielkie przyjęcie dla wszystkich mieszkańców miasta. Zaprzeczyłem mu i powiedziałem, że nie widzę, by okoliczności go do tego zmuszały. Na to wpadł we wściekłość oświadczając, że należę do tych ludzi, którzy korzystają chętnie z wszelkich względów, nic w zamian nie dając. Wstałem więc i opuściwszy bez słowa kajutę, wróciłem do Concepcion, gdzie wówczas mieszkałem. Po paru dniach wróciłem na okręt i zostałem przyjęty przez kapitana tak serdecznie, jak zawsze; burza minęła. Pierwszy porucznik jednak powiedział mi: "Niech pana licho weźmie, filozofie. Chciałbym, aby pan nie kłócił się z szyprem. W dniu, w którym opuścił pan statek, byłem śmiertelnie zmęczony (okręt był w naprawie), a on taszczył mnie do północy po pokładzie, wygadując na pana". Trudności współżycia z kapitanem okrętu wojennego są tym większe, że gdy się chce mu odpowiedzieć jak komukolwiek innemu, wygląda to niemal na bunt. Poza tym trudności te wzmagają jeszcze obawa, jaką odczuwali przed nim w tych czasach wszyscy znajdujący się na pokładzie. Przypominam sobie ciekawą przygodę skarbnika z Adventure. Okręt ten żeglował razem z Beagle w czasie pierwszego rejsu. Skarbnik kupował w Rio de Janeiro rum dla załogi, gdy niewielki ubrany po cywilnemu gentleman wszedł do sklepu. Skarbnik zwrócił się do niego: "Niech pan będzie tak uprzejmy skosztować tego rumu i dać o nim swą opinię". Gentleman uczynił zadość prośbie i wkrótce opuścił sklep. Kupiec zapytał wówczas skarbnika, czy wie, że mówił z kapitanem okrętu liniowego, który dopiero co zawitał do portu. Biedny skarbnik zmartwiał z przerażenia, upuścił szklanekę z trunkiem na ziemię, natychmiast pobiegł na okręt i, jak mnie zapewniał oficer z Adventure, żadna siła nie mogła go skłonić do wyjścia na ląd; tak bał się on spotkania z kapitanem po tym okropnym akcie poufałości.

Po moim powrocie do domu rzadko tylko widywałem Fitz-Roya, gdyż zawsze obawiałem się, aby go niechcący nie obrazić, co się zresztą nawet przydarzyło, prawie że bez widoków pogodzenia się. Później był oburzony na mnie za ogłoszenie tak nieprawowiernej książki jak "Powstawanie gatunków" (stał się on bardzo religijny). Pod koniec swego życia wpadł on niemal w ubóstwo, co w dużej mierze było, jak sądzę, rezultatem jego hojności. W każdym razie po jego śmierci musiano uciec się do subskrypcji, aby spłacić długi. Koniec jego życia był żałosny, popełnił bowiem samobójstwo, podobnie jak i jego wuj lord Castlereagh, którego tak przypominał z obejścia i wyglądu.

Był to pod wieloma względami najszlachetniejszy ze znanych mi charakterów, choć przysłonięty ciężkimi wadami.

Podróż na Beagle była najdonioślejszym zdarzeniem mojego życia i zdecydowała o całej mojej dalszej karierze. A zależało to od tak drobnej okoliczności, jak to, że wuj ofiarował się jechać ze mną 30 mil od Shrewsbury, co niewielu wujów chciałoby uczynić, i od takiego głupstwa, jak kształt mego nosa. Zawsze uważałem, że przede wszystkim tej podróży zawdzięczam sprawność mego umysłu i wykształcenie. Skłoniła mnie ona do gruntownego zajęcia się różnymi gałęziami nauk przyrodniczych, przez co wydoskonaliły się moje zdolności obserwacyjne, zresztą dość dobrze już przedtem rozwinięte. Daleko wszakże większe znaczenie miały badania geologiczne każdej zwiedzanej okolicy, to bowiem wymaga rozumowania. Nic nie wydaje się bardziej beznadziejne w pierwszym okresie badania nowej okolicy niż chaos skał. Jednakże jeśli się w wielu miejscach bada uwarstwienie skał i skamielin oraz ich właściwości, a przy tym nieustannie człowiek myśli i stara się przewidzieć, co można znaleźć w jeszcze innym miejscu, to powoli wszystko zaczyna się rozjaśniać i struktura staje się mniej lub więcej zrozumiała. Zabrałem ze sobą pierwszy tom "Zasad geologii" Lyella i uważnie go studiowałem; książka ta okazała się dla mnie pod wieloma względami wielce pomocna. Pierwsze już miejsce, które badałem, a mianowicie St. Jago na wyspach Zielonego Przylądka, jasno wykazało cudowną wyższość sposobu traktowania geologii przez Lyella w porównaniu z którymkolwiek spośród innych autorów, których prace miałem ze sobą lub czytałem później.

Innym moim zajęciem było zbieranie zwierząt wszystkich grup, w tym również zwierząt morskich, sporządzanie krótkich ich opisów i pobieżna selekcja. Nie byłem jednak zdolnym rysownikiem i nie miałem dostatecznie szerokiej wiedzy anatomicznej; stąd wielki plik rękopisów sporządzonych w czasie podróży okazał się prawie bezużyteczny. Straciłem przeto wiele czasu wyjąwszy pewne korzyści, jakie dały mi studia nad skorupiakami, co mi się bardzo przydało później, gdy po latach podjąłem opracowanie monografii wąsonogów.

Pewną część dnia zawsze poświęcałem na pisanie mojego dziennika i zadałem sobie wiele trudu, aby dokładnie i żywo opisać wszystko, co widziałem. Było to dla mnie bardzo dobre ćwiczenie. Dziennik zastępował też częściowo listy do domu i gdy tylko nadarzyła się sposobność, wysyłałem do Anglii całe jego fragmenty.

Różnorodne studia specjalne, o których tutaj mówiłem, nie miały wszakże żadnego prawie znaczenia, w porównaniu z tym, że przyzwyczałem się do wyczerpanej pracy i skupiania uwagi nad sprawą, którą się zajmowałem. Wszystko co myślałem i o

czym czytałem, porównywałem bezpośrednio z tym, co widziałem lub według wszelkiego prawdopodobieństwa miałem zobaczyć. I ten nawyk umysłu utrzymał się nieprzerwanie przez pięć lat podróży. Jestem pewien, że takie właśnie ćwiczenie pozwoliło mi zrobić dla nauki wszystko to, czego udało mi się dokonać.

Spoglądając wstecz, widzę, jak moje umiłowanie nauk przyrodniczych stopniowo przerastało wszelkie inne upodobania. W ciągu dwóch pierwszych lat moja dawna namiętność do polowania utrzymała się niemal w całej swej sile i sam strzelałem wszystkie ptaki oraz zwierzynę przeznaczoną do zbiorów. Stopniowo jednak coraz częściej przekazywałem strzelbę mojemu służącemu, aż oddałem mu ją ostatecznie, ponieważ przeszkadzała mi w pracy, zwłaszcza przy badaniu geologicznej struktury okolicy. Stwierdziłem, na razie może bezwiednie i niepostrzeżenie, że obserwacja i rozumowanie dają o wiele więcej przyjemności niż sprawność [fizyczna] i sport. Pierwotne instynkty barbarzyńcy ustępowały stopniowo miejsca nowo nabytym zamiłowaniom cywilizowanego człowieka. To że mój umysł istotnie rozwinął się dzięki moim zajęciom w czasie podróży, wydaje mi się prawdopodobne - świadczyła o tym uwaga rzucona przez mojego ojca, który był najbystrzejszym obserwatorem, jakiego znałem, i sceptykiem z usposobienia, a przy tym wcale nie był zwolennikiem frenologii. Widząc mnie po raz pierwszy po podróży, zwrócił się do moich sióstr i zawołał: Ależ kształt jego głowy całkiem się zmienił".

Ale wróćmy do podróży. 11 września (1831) złożyłem krótką wizytę Fitz-Royowi na okręcie Beagle w Plymouth, następnie udałem się do Shrewsbury, by na długo pożegnać się z ojcem i siostrami. 24 października przenieśliśmy się do Plymouth i pozostawałem tam aż do 27 grudnia, kiedy to Beagle pożegnał ostatecznie brzegi Anglii udając się w podróż dokoła świata. Już przedtem dwukrotnie próbowaliśmy wypłynąć na morze, lecz za każdym razem gwałtowny sztorm zawracał nas z powrotem. Te dwa miesiące spędzone w Plymouth należą do najprzykrzejszych w moim życiu, chociaż usiłowałem zająć się różnymi rzeczami. Myśl, że opuszczam na tak długo rodzinę i przyjaciół, przygnębiała mnie, a pogoda wydawała się wprost okropna. Niepokoił mnie też ból i bicie serca i jak wielu laików, a zwłaszcza posiadających powierzchowne wiadomości z medycyny, byłem przekonany, że to wada serca. Nie radziłem się żadnego lekarza, gdyż byłem pewny, iż zawyrokuje on, że jestem niezdolny do podróżowania, a postanowiłem pojechać za wszelką cenę.

Nie ma potrzeby, bym opisywał tu przebieg podróży - gdzie byliśmy i co robiliśmy - gdyż jest to dosyć dokładnie opowiedziane w Dzienniku, który został

opublikowany. Dotychczas żywiej niż cokolwiek innego stoi mi przed oczyma wspaniała roślinność tropikalna. Uczucia wzniosłości, które wzbudziły we mnie wielkie pustynie Patagonii i zalesione góry Ziemi Ognistej pozostawiły w moim umyśle niezatarte wrażenia. Widok nagiego dzikusa [W oryg. - a naked savage; Darwin używał przyjętej w XIX w., a dziś nieco rażącej klasyfikacji etnologicznej, której główne grupy określano jako ludy dzikie, barbarzyńskie, cywilizowane i kulturalne - tłum.] na tle jego ojczystego kraju sprawia wrażenie, którego się nie zapomina. Bardzo ciekawe były moje liczne wycieczki do dzikich okolic odbywane konno lub łodziami, a trwające niekiedy wiele tygodni. Nie zniechęcały mnie połączone z tym niewygody i pewne niebezpieczeństwo, gdyż szybko się o tym zapominało. Z wielkim zadowoleniem wspominam również pewne prace naukowe, na przykład rozwiązanie problemu wysp koralowych i zbadanie geologicznej struktury niektórych wysp, np. Wyspy Św. Heleny. Nie mogę też pominąć odkrycia swoistych współzależności między zwierzętami i roślinami zamieszkującymi liczne wyspy Archipelagu Galapagos, z innej zaś strony współzależności między nimi a mieszkańcami Ameryki Południowej.

Jeżeli wolno mieć sąd o samym sobie, pracowałem w czasie podróży z całym siłą, gdyż po prostu miałem wielkie zamiłowanie do badań i silne pragnienie dorzucenia kilku faktów do wielkiej ich masy, jaką rozporządza przyrodoznawstwo. Kierowałem się także ambicją zajęcia odpowiedniego miejsca wśród ludzi nauki, lecz czy byłem więcej, czy też mniej ambitny niż większość moich kolegów po fachu, tego nie potrafię ocenić.

Uderzająca, choć prosta jest geologia St. Jago: potok lawy przepłynął niegdyś po dnie morza pokrytym odłamkami współczesnych muszli i koralu, stapiając je w białą, twardą skałę. Następnie cała wyspa uległa wyniesieniu. Obserwując pasmo białej skały uprzytomniłem sobie wszakże nowy i ważny fakt, a mianowicie, że nastąpiło później obniżenie dokoła kraterów, które pozostały czynne i w dalszym ciągu wyrzucały lawę. Wtedy po raz pierwszy powziąłem zamiar napisania książki o geologii różnych zwiedzanych przeze mnie krain, co przejęło mnie dreszczem radości. Była to pamiętna godzina; jakże dokładnie dziś jeszcze widzę niewysoką skałę z lawy, pod którą odpoczywałem w palącym żarem słońcu, nieliczne dziwne pustynne rośliny rosnące w pobliżu, żywe koralu w zalewiskach odpływu u moich stóp. Później w czasie podróży Fitz-Roy prosił mnie o przeczytanie wyjątków z mojego Dziennika, po czym oświadczył, że warto go ogłosić drukiem. A więc i druga książka była na widoku.

Pod koniec naszej podróży otrzymałem w Ascension list, w którym donosiły mi siostry, jak to Sedgwick odwiedził ojca i powiedział, że zapewne zajmę kiedyś miejsce wśród wybitnych ludzi nauki. Nie mogłem wtedy pojąć, w jaki sposób mógł się on dowiedzieć o moich pracach, lecz słyszałem (myślę, że to było później), iż Henslow czytał w Towarzystwie Filozoficznym w Cambridge niektóre listy pisane do niego i wydrukował je do prywatnego rozpowszechnienia. Mój zbiór kości kopalnych, które przesłałem Henslowowi, wzbudził też znaczne zainteresowanie wśród paleontologów. Po przeczytaniu listu w podskokach wspinałem się po górach Ascension, a wulkaniczne skały dudniły pod uderzeniami mego geologicznego młotka! Wszystko to wskazuje, jak byłem ambitny; sądę jednak, i mówię to zupełnie szczerze, że choć w późniejszych latach w najwyższym stopniu zależało mi na uznaniu takich ludzi, jak Lyell i Hooker, którzy byli moimi przyjaciółmi, to nigdy nie starałem się zdobyć szerszej publiczności. Nie chcę przez to powiedzieć, że pochlebne recenzje i pomyślna sprzedaż moich książek, nie sprawiały mi wielkiej przyjemności, lecz przyjemność ta była chwilowa i jestem pewien, że dla uzyskania sławy nigdy ani na krok nie zboczyłem z mojej drogi.

## **OD POWROTU DO ANGLII 2 PAŹDZIERNIKA 1836 DO MOJEGO ŚLUBU 29 STYCZNIA 1839 R.**

Przez te dwa lata i trzy miesiące byłem bardziej niż kiedykolwiek czynny, chociaż często byłem niezdrów, wskutek czego straciłem trochę czasu. Jeździłem między Shrewsbury, Maer, Cambridge a Londynem, aż - wreszcie 13 grudnia zamieszkałem w Cambridge, gdzie pod opieką Henslowa znajdowały się wszystkie moje zbiory. Pozostałem tam przez trzy miesiące i przy pomocy profesora Millera zbadałem moje minerały i skały.

Zacząłem opracowywać mój *Dziennik podróży*, co nie było trudną pracą, gdyż rękopis Dziennika był starannie prowadzony; głównym więc zadaniem było streszczenie ciekawszych wyników naukowych. Na życzenie Lyella posłałem Towarzystwu Geologicznemu krótki opis moich spostrzeżeń nad podnoszeniem się wybrzeża Chile.

Od siódmego marca 1837 mieszkałem w Londynie przy ulicy Great Marlborough prawie przez dwa lata aż do czasu małżeństwa. W ciągu tych dwu lat ukończyłem *Dziennik*, przedstawiłem wiele prac Towarzystwu Geologicznemu, zacząłem opracowywać moje "Geological Observations" i zabiegać o wydanie "Zoology of the voyage of the Beagle". Pierwszego lipca zacząłem prowadzić notatnik faktów

dotyczących powstawania gatunków, nad czym długo rozmyślałem; pracę tę prowadziłem nieprzerwanie przez następne dwadzieścia lat.

W czasie owych dwóch lat bywałem nieco w towarzystwie i byłem jednym z honorowych sekretarzy Towarzystwa Geologicznego. Często widywałem Lyella. Jedną z głównych cech jego charakteru była życzliwość dla pracy innych; zadziwiło mnie i ucieszyło zainteresowanie, jakie mi okazał, gdy po powrocie do Anglii wyjaśniałem mu moje poglądy na powstawanie raf koralowych. Było to dla mnie wielką zachętą, a jego rady i przykład wywarły na mnie duży wpływ. W tym czasie widywałem też często Roberta Browna, *facile princeps botanicorum*. Wpadałem do niego zwykle w niedzielę rano i zasiadałem z nim do śniadania, a on rozstrzygał bogate skarby ciekawych spostrzeżeń i bystrych uwag, które jednak zawsze odnosiły się do zagadnień szczegółowych, nigdy zaś do wielkich, ogólnych kwestii naukowych.

W ciągu tych dwóch lat zrobiłem dla odpoczynku wiele krótkich wycieczek i jedną dłuższą - do równoległych tarasów w Glen Roy; opis tej wycieczki był ogłoszony w "Philosophical Transactions". Praca ta była wielkim nieporozumieniem i wstyd mi z tego powodu. Pozostając pod silnym wrażeniem podnoszenia się łądu, które obserwowałem w południowej Ameryce, przypisywałem te równoległe linie działaniu morza. Musiałem jednak zarzucić ten pogląd, gdy Agassiz ogłosił swą teorię jezior lodowcowych. Ponieważ przy ówczesnym stanie wiedzy żadne inne wyjaśnienie nie było możliwe, opowiedziałem się za działaniem morza. Ten mój błąd był dla mnie wszakże dobrą nauką, by w nauce nigdy nie polegać na zasadzie wyłącznego środka.

Ponieważ nie byłem w stanie pracować naukowo przez cały dzień, przeto w ciągu tych dwóch lat przeczytałem wiele książek treści metafizycznych. Nie nadawałem się wszakże zupełnie do tego rodzaju studiów. W tym też czasie delectowałem się poezją Wordswortha i Coleridge'a i mogę się pochwalić, że przeczytałem dwa razy "Excursion". Dawniej najbardziej lubiłem "Raj utracony" Milтона i gdy w czasie podróży na Beagle wybierałem się na wycieczkę, a nie mogłem wziąć ze sobą więcej niż jeden mały tomik, wybór mój padał zawsze na Milтона.

## **POGLĄDY RELIGIJNE**

W ciągu tych dwóch lat często myślałem o religii. Wówczas gdy przebywałem na pokładzie Beagle, zapatrywania moje były ściśle ortodoksyjne; pamiętam jak serdecznie śmiali się ze mnie niektórzy oficerowie (choć sami byli

ortodoksami), gdy cytowałem Biblię jako nieodparty argument w pewnych kwestiach moralnych. Sądzę, że bawiła ich naiwność mojej argumentacji. Stopniowo jednak dochodziłem do przekonania, że Stary Testament z jego jawnie fałszywą historią świata, z Wieżą Babel, z tęczą jako znakiem itd. i z przypisywaniem Bogu uczuć mściwego tyrana nie jest bardziej wiarygodny niż święte księgi Hindusów lub wierzenia barbarzyńcy. Ciągłe więc umysłowi memu narzucało się pytanie - i nie mogłem się od niego opędzić - czy jest rzeczą prawdopodobną, że gdyby Bóg miał obecnie zesłać objawienie Hindusom, dopuściłby, aby powiązano je z wiarą w Wisznu, Sziwę itd., tak jak chrześcijaństwo wiąże je ze Starym Testamentem. Wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

Zastanawiałem się nad tym, iż trzeba by bardzo oczywistych dowodów na to, aby jakiegokolwiek człowieka o zdrowym rozsądku skłonić do wiary w cuda, na której opiera się chrześcijaństwo - a im więcej wiemy o niezmiennych prawach przyrody, tym mniej prawdopodobne są cuda. Zastanawiałem się następnie nad tym, iż w owych czasach ignorancja i łatwowierność człowieka osiągały stopień dla nas niemal niepojęty, że nie można dowieść, by Ewangelie były pisane współcześnie z opisywanymi w nich zdarzeniami, że różnią się one w wielu ważnych szczegółach, zbyt ważnych, jak mi się wydaje, aby złożyć to na karb zwykłych niedoskonałości w relacjach świadków. O wszystkich tych refleksjach piszę nie dlatego, że są jakąś nowością lub ze względu na ich wartość, ale dlatego że wywarły na mnie wpływ. Stopniowo przestawałem wierzyć, by chrześcijaństwo było objawieniem boskim. Pewne znaczenie miał tu dla mnie fakt, że wiele nieprawdziwych religii rozprzestrzeniło się po świecie z błyskawiczną szybkością. Chociaż zasady moralne zawarte w Nowym Testamencie są tak wzniosłe, trudno zaprzeczyć, że ich doskonałość częściowo zależy od tego, w jaki sposób interpretujemy jego metafory i alegorie.

Bardzo jednak niechętnie rezygnowałem z mojej wiary. Jestem tego pewien, gdyż pamiętam, jak wciąż powracałem do marzenia o odkryciu jakichś starych listów sławnych Rzymian albo znalezieniu w Pompei lub gdzie indziej jakichś rękopisów, które by potwierdziły w sposób oczywisty wszystko to, co napisano w Ewangeliach. Lecz nawet przy zupełnej swobodzie, jakiej udzielałem mojej wyobraźni, coraz trudniej było mi wynaleźć dowody, które by przekonywały mnie w stopniu dostatecznym. Stopniowo coraz bardziej owładana mną niewiara, aż wreszcie dokonało się to całkowicie. Postępowało to wszakże tak wolno, że nie odczuwałem żadnego niepokoju i od tego czasu nie wątpiłem nigdy ani przez chwilę, że moje wnioski są prawidłowe. Trudno mi doprawdy pojąć, że ktokolwiek



mógłby sobie życzyć, aby wiara chrześcijańska była prawdziwa. Bo gdyby tak było, to bezpośrednia wymowa tego tekstu [tekstu Ewangelii - tłum.] jest jak się zdaje taka, iż ludzie, którzy nie wierzą - a do nich należy zaliczyć mego Ojca, Brata i prawie wszystkich moich najlepszych przyjaciół - są skazani na wieczne potępienie.

A to jest wszak okropna doktryna.

Chociaż o istnieniu Boga osobowego dużo myślałem dopiero w znacznie późniejszym okresie życia, podam tu ogólne wnioski, do których doszedłem. Stary, przytaczany przez Paleya, argument o celowości w przyrodzie, który dawniej wydawał mi się tak przekonywający, upada obecnie z chwilą odkrycia prawa doboru naturalnego. Nie możemy już dłużej utrzymywać, że np. piękne zawiasy skorupy małży musiały być wykonane przez istotę rozumną, tak jak zawiasy drzwi - przez człowieka. Nie więcej jest, zdaje się, celowości w zmienności istot żywych i w działaniu doboru naturalnego niż w kierunku, w którym wieje wiatr. Wszystko w przyrodzie jest wynikiem niezmiennych praw. Zresztą zastanawiałem się nad tym zagadnieniem w zakończeniu mojej książki o "Zmienności zwierząt i roślin w stanie udomowienia"; podane tam argumenty, o ile wiem, nigdy nie zostały odparte.

Lecz jeśli nawet pominiemy niezliczone piękne przystosowania, z którymi się wszędzie spotykamy, pozostaje pytanie - w jaki sposób można wytłumaczyć dobroczynny na ogół porządek świata? Niektórzy pisarze są co prawda pod takim wrażeniem bezmiaru cierpienia na tym świecie, iż wątpią, czy jeśli wziąć pod uwagę wszystkie istoty czujące, więcej jest nieszczęść czy też szczęśliwości i czy świat jako całość jest dobry, czy zły. Według mego zdania szczęście zdecydowanie przeważa, chociaż trudno byłoby to udowodnić. Jeśli założymy, że to stwierdzenie jest prawdziwe, to byłoby ono w harmonii z tymi skutkami działania doboru naturalnego, jakich możemy się spodziewać. Jeśliby wszystkie osobniki jakiegokolwiek gatunku [species] ustawicznie doznawały cierpienia najwyższego stopnia, to ustałoby rozmnażanie danego gatunku [kind]; nie ma wszakże podstaw do przypuszczenia, by to się kiedykolwiek lub przynajmniej bardzo często zdarzało. Co więcej, niektóre inne przesłanki prowadzą do przekonania, że wszystkie istoty czujące są tak ukształtowane, iż na ogół z reguły cieszą się szczęściem.

Każdy kto tak jak ja uważa, że wszystkie narządy ciała i właściwości umysłowe [all the corporeal and mental organs] (wyjątkiem tych, które nie są ani korzystne, ani niekorzystne dla posiadacza) wszystkich istot rozwinęły się drogą doboru

naturalnego, czyli przeżycia najstosowniejszego, a zarazem przez używanie (narządów) oraz przyzwyczajenie, ten przyzna, iż owe narządy zostały tak ukształtowane, że ich posiadacze mogą pomyślnie współzawodniczyć z innymi istotami i wzrastać w liczbę. Tak więc zwierzę ma możliwość obierać działanie najbardziej korzystne dla swego gatunku, powodując się bądź cierpieniem, jak ból, głód, pragnienie i strach, bądź przyjemnością, jak jedzenie, picie, rozmnażanie się itp., bądź jeszcze połączeniem pierwszego i drugiego, jak na przykład wyszukiwanie pokarmu. Wszakże jeśli ból lub jakieś inne cierpienie trwa długo, wywołuje przygnębienie i osłabia moc działania, choć skądinąd dobrze przystosowuje żywą istotę do obrony przed wielkim i nagłym niebezpieczeństwem. Z drugiej zaś strony przyjemne wrażenia mogą trwać długo bez żadnego deprymującego wpływu; przeciwnie, pobudzają one cały układ do wzmożonego działania. Z tego by wynikało, że większość lub wszystkie istoty czujące musiały się rozwinąć drogą doboru naturalnego w ten sposób, iż ich normalnym przewodnikiem były wrażenia przyjemne. Przejawia się to w zadowoleniu, jakie sprawia nam wysiłek, czasami nawet wielki wysiłek fizyczny lub umysłowy, w przyjemności, jaką daje spożywanie codziennych posiłków, zwłaszcza zaś w zadowoleniu, jakie sprawia współżycie z ludźmi [sociability] i miłość własnej rodziny. Suma takich przyjemności, które stają się przyzwyczajeniem lub też często powtarzają się - stanowi ponad wszelką wątpliwość o przewadze szczęścia nad cierpieniem u większości istot czujących, chociaż wiele z nich doznaje czasami znacznych cierpień. Istnienie tych cierpień można całkowicie pogodzić z wiarą w Dobór Naturalny, który nie jest przecież doskonały w swoim działaniu, a tylko prowadzi do tego, by każdy gatunek miał możliwość zwycięstwa w walce o byt z innymi gatunkami w niezwykle złożonych i zmieniających się warunkach.

Nikt nie przeczy, że na świecie jest wiele cierpień. W odniesieniu do człowieka niektórzy usiłowali to wytłumaczyć zakładając, że mają one służyć moralnemu doskonaleniu. Lecz liczba ludzi na świecie jest znikoma w porównaniu z liczbą wszystkich innych istot czujących, a te bardzo często cierpią bez żadnego związku z moralnym doskonaleniem się. Istota tak potężna i tak pełna wiedzy, jak Bóg, który zdołał stworzyć wszechświat, jest dla naszych ograniczonych umysłów wszechmocna i wszechwiedząca. Toteż nasz rozum wzdraga się przed podejrzeniem, że jego dobroć nie jest nieograniczona; jakąż bowiem korzyść może przynieść cierpienie milionów niższych zwierząt w ciągu nieskończonego niemal czasu? Ten bardzo stary argument przeciw istnieniu rozumnej pierwszej przyczyny, oparty na istnieniu cierpień, wydaje mi się bardzo poważny. Tymczasem, jak to już wyżej zaznaczono, istnienie wielu cierpień doskonale daje

się pogodzić z poglądem, iż wszystkie istoty organiczne rozwinęły się przez zmienność i dobór naturalny.

Najczęściej obecnie przytaczane argumenty ze istnieniem rozumnego Boga opierają się na istnieniu głębokiego wewnętrznego przekonania i uczuć doświadczanych przez wiele osób. Lecz nie można wątpić, że Hindusi, Mahometanie i inni mogą argumentować w podobny sposób i z równą siłą za istnieniem jednego albo wielu Bogów - lub jak Buddyści - za nieistnieniem Boga. O wielu zaś barbarzyńskich plemionach możemy też twierdzić, że w ogóle nie wierzą w to, co nazywamy Bogiem. Wierzą oni w gruncie rzeczy w duchy lub upiory; jak to wykazali Tylor i Herbert Spencer, wyjaśnienie tego, w jaki sposób powstają prawdopodobnie takie wierzenia, jest zupełnie możliwe.

Kiedyś uczucia, o których mówiłem (choć nie sądzę zresztą by uczucia religijne były kiedykolwiek silnie we mnie rozwinięte), doprowadziły mnie do głębokiego przeświadczenia o istnieniu Boga i o nieśmiertelności duszy. Pisałem w moim *Dzienniku*, że gdy człowiek znajdzie się w samym środku wspaniałej puszczy brazylijskiej, "nie może znaleźć właściwego wyrazu dla tych podniosłych uczuć podziwu, uwielbienia i nabożeństwa przepelniających i uszlachetniających nasz umysł". Dobrze pamiętam moje przekonanie, że w człowieku tkwi coś więcej niż tylko oddech jego ciała. Lecz obecnie najwspanialsza nawet sceneria nie wywoła w moim umyśle takich przeświadczeń i uczuć. Można o mnie z całą słusnością powiedzieć, że jestem jak człowiek, który stał się ślepy na kolory i że wobec powszechnej wiary ludzi w istnienie czerwieni mój obecny brak percepcji nie ma żadnej wartości dowodowej. Ten argument miałby walor, gdyby wszyscy ludzie wszystkich ras żywili to samo wewnętrzne przekonanie o istnieniu jedyne Boga. Wiemy jednak, że jest to w istocie rzeczy bardzo dalekie od prawdy. Nie sądzę przeto, by owe wewnętrzne przekonania i uczucia miały wartość jako dowód jakiegoś rzeczywistego bytu. Stan umysłu, w który dawniej wprawiały mnie wspaniałe widoki i który ściśle łączył się z wiarą w Boga, nie różni się w swej istocie od tego, co często nazywamy poczuciem sublimacji. I chociaż trudno jest wyjaśnić sobie genezę tego poczucia, nie można wysuwać go jako argumentu za istnieniem Boga, podobnie jak i równie mocnych, chociaż nieuchwytnych uczuć wywoływanych przez muzykę.

Co się tyczy wiary w nieśmiertelność, to nic nie może lepiej wykazać jej siły i instynktownego niemal charakteru niż zastanowienie się nad poglądem przyjętym obecnie przez większość fizyków, mianowicie, że słońce wraz ze wszystkimi planetami będzie z czasem zbyt zimne dla życia, chyba że rzeczywiście jakieś

wielkie ciało zderzy się ze słońcem i w ten sposób wleje weń nowe życie. Jeśli się wierzy, tak jak ja wierzę, iż w dalekiej przyszłości człowiek będzie istotą o wiele bardziej doskonałą niż obecnie, to myśl, że zarówno on, jak i wszystkie inne istoty czujące są skazane na zupełne unicestwienie, po tak długim i powolnym postępie - jest nie do zniesienia. Dla tych, którzy w pełni przyjmują nieśmiertelność duszy ludzkiej, zniszczenie naszego świata nie wydaje się tak przerażające.

Odnoszę wrażenie, że o wiele większą uwagę ma inne źródło przekonania o istnieniu Boga, związane z rozumem, a nie z uczuciami. Źródłem takiego przekonania jest nadzwyczajna trudność czy wręcz niemożliwość wyobrażenia sobie, iż niezmierny i cudowny wszechświat wraz z człowiekiem zdolnym do spoglądania zarówno wstecz, jak i w daleką przyszłość, jest dziełem ślepego przypadku lub konieczności. Gdy zastanawiam się nad tym, czuję się zmuszony zwrócić się ku Pierwszej Przyczynie władającej rozumem w jakimś stopniu analogicznym do rozumu człowieka; a więc należy mi się miano Teisty.

Przekonanie to głęboko tkwiło w moim umyśle jeszcze w okresie pisania "Powstawania gatunków", lecz od tego czasu stopniowo i z różnymi wahaniami coraz bardziej słabło [Całe to zdanie zostało dopisane w późniejszym czasie ręką Karola Darwina w manuskrypcie należącym do Franciszka Darwina. Rosyjski tłumacz pełnego tekstu "Wspomnień" ("Autobiografii") opublikowanego w 1957 r. - Sobol - zamieszcza to zdanie w formie odsyłacza od poprzedniego zdania, ściśle od słowa "Teisty". Sobol zwraca uwagę, że zmiana miejsca tego zdania w stosunku do manuskryptu, to znaczy ustawienie go w tekście tak jak to jest w angielskim wydaniu z 1958 r. oraz w niniejszym przekładzie, pociąga za sobą istotną zmianę toku rozumowania. Następne bowiem zdanie, kwestionujące wartość ogólnych wniosków, nawiązuje w tym układzie do zdania dopisanego przez Darwina później. Przy traktowaniu zaś tego zdania jako odsyłacza wątpliwości te dotyczyłyby wniosku o istnieniu rozumnej Pierwszej Przyczyny - tłum.]. Powstaje wszakże wątpliwość, czy można zaufać umysłowi człowieka, gdy dochodzi on do tak doniosłych wniosków? Wszak rozwinął się on, jak jestem o tym przekonany, z umysłu tak niskiego [stopnia rozwoju], jaki posiadają niższe zwierzęta. Czy nie może to być działanie związku między przyczyną i skutkiem, który przedstawia się nam jako konieczny, lecz prawdopodobnie zależy tylko od dziedziczącego się doświadczenia? Nie możemy też przeoczyć możliwości ciągłego wszczepiania wiary w Boga w umysły dzieci, co wywiera tak silny i prawdopodobnie dziedziczny wpływ na ich mózg niezupełnie jeszcze rozwinięty, że tak samo trudno im odrzucić wiarę w Boga, jak małpie trudno jest pozbyć się instynktowego strachu i nienawiści do węża.

Nie roszczę pretensji, bym miał rzucić najmniejsze bodaj światło na tak zawiły problem. Tajemnica początku wszechrzeczy jest dla nas nierozwiązalna i dlatego muszę zadowolić się tym, że pozostaję Agnostykiem.

Człowiek pozbawiony pewnej i zawsze mu przyświecającej wiary w istnienie Boga osobowego lub w życie przysłe z karą lub nagrodą może przyjąć jako zasadę życiową - o ile mogę to wiedzieć - jedynie podążanie za tymi popędami i instynktami, które są najsilniejsze lub wydają się mu najlepsze. W ten sposób postępuje pies, lecz czyni to na ślepo. Człowiek natomiast spogląda w przeszłość i przyszłość, porównuje różne uczucia, pragnienia i wspomnienia. Odkrywa on tedy, zgodnie ze zdaniem najmędrszych ludzi, że największe zadowolenie daje podporządkowanie się pewnym impulsom, a mianowicie instynktom społecznym. Jeżeli działa dla dobra innych, zyska aprobatę bliźnich i zdobędzie miłość tych, z którymi współżyje, a to jest niewątpliwie największą przyjemnością na tej ziemi. Stopniowo stanie się dlań rzeczą nie do przyjęcia pójść za głosem raczej zmysłowych namiętności niż wyższych impulsów, które jeśli staną się przyzwyczajeniem, mogą być prawie nazwane instynktami. Czasami rozum może dyktować mu, by działał wbrew opinii innych i choć nie uzyska wtedy aprobaty, mimo to dozna jednak rzetelnego zadowolenia, że postępował zgodnie z najbardziej wewnętrznym swym przewodnikiem, sumieniem. Jeżeli chodzi o mnie, jestem przekonany, że postępowałem słusznie zajmując się nauką i poświęcając jej całe życie. Nie odczuwam wyrzutów sumienia, gdyż nie popełniłem żadnego większego grzechu, choć często, bardzo często żałowałem, że bezpośrednio nie świadczył więcej dobrego moim bliźnim. Jedynym, choć słabym usprawiedliwieniem jest zły stan zdrowia i moja umysłowa konstytucja, które sprawiały, że z największą tylko trudnością mogłem zwracać się od jednego przedmiotu lub zajęcia do drugiego. Mogę sobie doskonale wyobrazić, jak wielkie zadowolenie mogłoby mi przynieść poświęcenie filantropii całego czasu, a nie jego części, chociaż i to byłoby daleko lepszą linią postępowania.

W drugiej połowie mego życia najbardziej znamiennej rzeczą było rozpowszechnienie się sceptycyzmu i racjonalizmu. Zanim wstąpiłem w związek małżeński, ojciec radził mi ukrywać starannie moje wątpliwości, gdyż, jak mówił, znane mu były wielkie niedole, jakie z tego powodu wynikały u ludzi żyjących w małżeństwie. Wszystko było zupełnie dobrze, dopóki któreś - żona lub mąż - nie utraciło zdrowia. Wtedy niektóre kobiety czuły się bardzo nieszczęśliwe, ponieważ wątpiły w zbawienie męża, co mu z kolei przysparzało wielu trosk. Ojciec dodał, że w całym swym życiu znał tylko trzy kobiety o sceptycznych poglądach. A

trzeba pamiętać, że znał on bardzo wielu ludzi i miał niezwykłą zdolność budzenia zaufania. Gdy go pytałem, co to za trzy kobiety, wyznał z szacunkiem odzywając się o jednej z nich, a mianowicie o swej szwagierce Kitty Wedgwood, że nie ma co do tego zupełnej pewności, a tylko niejasne przypuszczenie, poparte przekonaniem, że kobieta o tak światłych poglądach nie może być wierząca. Obecnie, chociaż tak mało mam znajomych, znam (lub znałem) wiele zamężnych pań, które nie są bardziej wierzące niż ich mężowie. Ojciec często przytaczał nieodparty argument, którym posługiwała się pewna starsza dama, pani Barlow, posądzająca go o niedowiarstwo i pragnąca go nawrócić. "Doktorze, tak jak wiem, że cukier w moich ustach jest słodki, tak samo wiem, że istnieje mój Odkupiciel".

### **OD MOJEGO ŚLUBU, 29 STYCZNIA 1839, I ZAMIESZKANIA NA ULICY UPPER GOWER, DO WYJAZDU Z LONDYNU I OSIEDLENIA SIĘ W DOWN, 14 WRZEŚNIA 1842 r.**

Wszyscy znacie dobrze waszą Matkę i wiecie, jak dobrą była Matką dla was wszystkich. Dla mnie była ona największym błogosławieństwem i mogę zaręczyć, że w ciągu całego mego życia nie słyszałem od niej ani jednego słowa, które by nie powinno być powiedziane. Nigdy nie zbrakło jej w stosunku do mnie dobroci i zrozumienia i z największą cierpliwością znosiła moje częste narzekania na stan zdrowia oraz złe samopoczucie. Jestem przekonany, że nigdy nie pominęła sposobności świadczenia dobra. Dziwię się własnemu szczęściu, że ona, nieskończenie wyżej ode mnie stojąca pod każdym względem, jeżeli chodzi o wartości moralne, zgodziła się zostać moją żoną. Była mi mądrym doradcą i pogodnym pocieszycielem w ciągu całego życia, które bez niej byłoby przez długi czas prawdziwie żalosne wskutek złego stanu mojego zdrowia. Budziła miłość i uwielbienie w każdym, kto ją poznał. (Mem: zachowałem jej piękny list pisany do mnie wkrótce po ślubie).

Byłem naprawdę bardzo szczęśliwy w mojej rodzinie i muszę wam wyznać, moje dzieci, że żadne z was nigdy nie przyczyniło mi niepokoju, z wyjątkiem troski o wasze zdrowie. Podejrzewam, że niewielu chyba jest ojców, którzy mając pięciu synów mogliby to powiedzieć tak zupełnie zgodnie z prawdą. Gdy byliście małymi dziećmi, lubiłem bawić się z wami i muszę westchnąć na myśl o tym, że te czasy nigdy już nie wrócą. Od najwcześniejszych dni waszego życia aż po dzień dzisiejszy, gdy już jesteście dorośli, zawsze wszyscy - synowie moi i córki - byliście dla nas i nawzajem dla siebie bardzo dobrzy, bardzo mili i oddani. Kiedy wszyscy lub większość z was jest w domu (co dzięki Niebu zdarza się dość często), żadne towarzystwo nie może być dla mnie miłsze i nie marzę o żadnym innym.

Tylko raz cierpieliśmy bardzo, oplakując śmierć Annie w Malvern 24 kwietnia 1851 r. - miała już ponad 10 lat. Było to najśłodsze i najczulsze dziecko; jestem pewien, że wyrosłaby z niej przemiła kobieta. Lecz nie będę mówić o jej charakterze, gdyż napisałem krótką o tym notatkę wkrótce po jej śmierci. I teraz jeszcze mam łzy w oczach, gdy myślę o jej dobroci.

Podczas tych trzech lat i ośmiu miesięcy naszego pobytu w Londynie wykonałem o wiele mniej pracy naukowej niż w ciągu jakiegokolwiek innego równie długiego okresu mojego życia; chociaż pracowałem tak intensywnie, jak tylko mogłem. Przyczyną tego były często powtarzające się niedomagania oraz jedna długotrwała poważna choroba. Ilekroć mogłem pracować, większość czasu poświęcałem mojej pracy o "Rafach koralowych", którą rozpocząłem jeszcze przed ślubem, a której ostatni arkusz korekty podpisałem 6 maja 1842 r. Chociaż jest to niewielka książka, kosztowała mnie ona dwadzieścia miesięcy ciężkiej roboty, ponieważ musiałem przeczytać wszystkie prace o wyspach Oceanu Spokojnego i zaglądać do wielu map morskich. Uczni wyrażali się o niej z uznaniem, a wyłożona tam teoria jest - jak sądzę - dobrze ugruntowana.

Żadna inna moja praca nie miała tak dedukcyjnego charakteru, jako że cała teoria powstała na zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej, zanim w ogóle zobaczyłem prawdziwą rafę koralową. Musiałem więc później tylko sprawdzić i rozszerzyć moje poglądy przez dokładne zbadanie żywych raf. Trzeba tu co prawda zaznaczyć, że już w ciągu dwóch poprzednich lat stale miałem możliwość obserwowania skutków okresowego podnoszenia się łądu na wybrzeżach południowej Ameryki połączonego z denudacją i odkładaniem się osadów. To z konieczności doprowadziło mnie do usilnych rozmyślań nad wpływem obniżania się łądu, ciągłe zaś tworzenie się osadów łatwo mi było następnie zastąpić w wyobraźni wzrostem koralu ku górze. W ten sposób powstała teoria tworzenia się raf barierowych i atoli.

W czasie mego pobytu w Londynie poza pracą nad rafami koralowymi miałem w Towarzystwie Geologicznym referaty o głazach narzutowych w Ameryce z Południowej, o trzęsieniach ziemi i o tworzeniu się gleby wskutek działania dżdżownic. Doglądałem też w dalszym ciągu spraw związanych z publikacją "Zoology of the Voyage of the Beagle". Nigdy też nie zaprzestałem gromadzenia faktów dotyczących powstawania gatunków i mogłem się tym zajmować nawet wówczas, gdy choroba nie pozwalała mi na nic innego.

Latem 1842 czułem się nieco lepiej niż poprzednio i wybrałem się na małą wycieczkę do północnej Walii, by dokonać obserwacji skutków działania dawnych lodowców, które niegdyś wypełniały wszystkie większe doliny. Ogłosiłem w "Philosophical Magazine" krótką notatkę o tym, co tam zobaczyłem. Wycieczka niezwykle mnie zainteresowała i wtedy po raz ostatni starczyło mi jeszcze sił do górskiej wspinaczki i długich marszów nieodzownych w pracy geologa.

W pierwszym okresie naszego pobytu w Londynie byłem dostatecznie jeszcze silny, aby bywać w towarzystwie. Zetknąłem się wówczas z wieloma uczonymi oraz innymi mniej lub bardziej wybitnymi ludźmi. Przytoczę nieco wrażeń dotyczących niektórych z tych ludzi, aczkolwiek niewiele jest rzeczy wartych opowiadania.

Zarówno przed ślubem, jak i później częściej widywałem się z Lyellem niż z kim innym. Charakterystyczne cechy jego umysłowości to - moim zdaniem - bystrość umysłu, ostrożność, zdrowy sąd i duża oryginalność. Jeśli zwracałem się doń z jakąś uwagą dotyczącą zagadnień geologicznych, dopóty nie odstępował od tematu, aż cała sprawa zaczęła mu się jasno przedstawiać, a często i ja widziałem ją jaśniej niż poprzednio. Wobec moich sugestii wysuwał zazwyczaj różne zastrzeżenia i nawet po wyczerpaniu tematu przez dłuższy jeszcze czas miał wątpliwości. Drugą charakterystyczną dlań cechą była serdeczna życzliwość dla pracy innych uczonych.

Po moim powrocie z podróży na okręcie Beagle przedstawiłem mu moje poglądy na powstawanie raf koralowych, które różniły się od jego własnych; bardzo mnie zaskoczyło i ośmieliło żywe zainteresowanie, jakie mi okazał. Przy takich okazjach pogrążony w myślach przyjmował najdziwaczniejsze pozy, często opierał głowę o krzesło i w tejsze chwili wstawał. Był gorąco rozmiłowany w nauce i ogromnie go interesował przyszły postęp ludzkości. Miał dobre serce i był wielkim liberałem, jeżeli chodzi o wierzenia religijne, czy raczej brak tych wierzeń. Mimo to był zagorzałym teistą. Uderzająca była jego prostota. Wykazał ją stając się w późniejszych latach swego życia zwolennikiem teorii descendencji, chociaż przedtem zyskał wielki rozgłos jako przeciwnik poglądów Lamarcka. Przypomni mi wtedy, jak wiele lat przedtem rozmawiając o opozycji starej szkoły geologów wobec jego poglądów rzekłem doń: "Jakby to było dobrze, gdyby każdy uczony umierał przed osiągnięciem sześćdziesiątego roku życia, gdyż później będzie on na pewno przeciwnikiem wszelkich nowych poglądów". Lecz ma on nadzieję - powiedział - że teraz wolno mu będzie jeszcze żyć czas jakiś. Miał duże poczucie humoru i często opowiadał zabawne anegdoty. Bardzo lubił towarzystwo,



zwłaszcza ludzi wybitnych i zajmujących wysokie stanowiska; to jego przesadne poszanowanie światowej pozycji człowieka było, jak mi się zdaje, główną jego słabostką. Zwykł być najpoważniej w świecie dyskutować z lady Lyell o tym, czy przyjąć, czy też nie przyjąć jakiegoś tam zaproszenia. Ponieważ jednak nie chciał częściej niż trzy razy w tygodniu jadać poza domem, by nie tracić czasu, przeto staranne rozważanie poszczególnych zaproszeń było zupełnie usprawiedliwione. Spodziewał się w zamian, że z biegiem lat będzie mógł częściej wychodzić wieczorami, lecz te dobre czasy nigdy nie nadeszły, gdyż tracił siły.

Wiedza geologiczna niesłychanie wiele zawdzięcza Lyellowi, więcej - jak sądzę - niż komukolwiek innemu. Gdy wyruszałem w podróż na okręcie Beagle, Henslow, który jak wszyscy inni geologowie tych czasów wierzył w kolejne katastrofy, przemyślnie mi poradził wziąć ze sobą i przestudiować pierwszy tom "Zasad" [Ch. Lyell: Principles of Geology, 1831 - t. I, 1832 - t. II, 1833 - t. III - tłum.], który wtedy właśnie wyszedł z druku, lecz w żadnym wypadku nie przyjmować głoszonych tam poglądów. Jakże inaczej obecnie mówi się o "Zasadach". Jestem dumny, że już pierwsze miejsce, w którym rozpocząłem badania geologiczne, a mianowicie St. Jago na Archipelagu Zielonego Przylądka przekonało mnie o nieskończoności wyższości poglądów Lyella nad innymi, przedstawionymi w pozostałych znanych mi dziełach.

Jak potężny był wpływ prac Lyella, świadczą wyraźne różnice w postępie nauki we Francji i w Anglii. Głównie Lyellowi należy przypisać, że obecnie zupełnie poszły w zapomnienie dziwaczne hipotezy Elie de Beaumonta, np. jego "Kratery elewacyjne" lub "Linie elewacji" [Pojęcia wprowadzone przez zarzuconą już za czasów Darwina teorię elewacji. Twórcami jej byli L. von Buch, A. Humboldt i E. de Beaumont. Twierdzili oni, że początkowo horyzontalnie zalegające warstwy skał ulegają podniesieniu przez wynoszenie się od wewnątrz stożków wulkanicznych (kratery elewacyjne) - tłum.] (słyszałem jak Sedgwick w Towarzystwie Geologicznym wynosił pod niebiosa tę ostatnią hipotezę).

W tym okresie kiedy to właśnie geologia czyniła swe tryumfalne postępy, znałem mniej więcej wszystkich wybitnych geologów. Większość z nich lubiłem z wyjątkiem Bucklanda, który choć pełen dobrego humoru i dobroduszny wydawał mi się wulgarny i prawie ordynarny. Kierował się raczej dążeniem do rozgłosu niż umiłowaniem nauki, co sprawiało, że zachowywał się czasem jak bufon. W swym dążeniu do popularności nie był on jednak samolubny - gdy Lyell jako młody człowiek radził się go w sprawie zgłoszenia w Towarzystwie Geologicznym kiepskiego komunikatu, który został mu przesłany przez jakiegoś cudzoziemca,

Buckland odpowiedział: "Lepiej zgłosić, bo w tytule będzie widniało - przedstawione przez Karola Lyella - i w ten sposób publiczność pozna pańskie nazwisko".

Nie sposób wprost przecenić zasług Murchisona dla geologii; opracował on podział starszych formacji geologicznych, jednak daleki był od posiadania umysłu filozoficznego. Był bardzo przyjacielski i ze wszech miar starał się świadczyć wszystkim usługi. Rozmiary, do których urastało jego poszanowanie rangi społecznej, budziły śmiech; z prostotą dziecka zdradzał się z tymi uczuciami i ze swoją próżnością. Z wielkim zachwytem opowiadał w salach Towarzystwa Geologicznego, w licznym towarzystwie, między innymi wielu ledwie mu znanych osób, jak to car Mikołaj w czasie pobytu w Londynie poklepał go po ramieniu i powiedział nawiązując do jego prac geologicznych: "Mon ami, Rosja jest ci wdzięczna". Następnie Murchison zacierając ręce rzekł: "A najlepsze z tego, że słyszał to książę Albert". Pewnego razu zawiadomił on radcę Towarzystwa Geologicznego, że jego wielkie dzieło w okresie sylurskim zostało w końcu opublikowane, i dodał: "Każdy z panów znajdzie swoje nazwisko w skorowidzu", jak gdyby był to szczyt sławy.

Widywałem się często z Robertem Brownem, tym *facile princeps botanicorum* - jak go nazywał Humboldt; zanim ożeniłem się zwykłem przesiadywać u niego prawie każdej niedzieli rano. Według mnie cechowała go głównie nadzwyczajna dokładność obserwacji i doskonała wprost sumienność. Nigdy mi nie przedstawił jakichś szerszych poglądów biologicznych. Jego wiedza była niezwykle rozległa, toteż wiele przepadło z jego śmiercią, gdyż przesadnie obawiał się popełnienia jakiegoś błędu. Bardzo szczerze roztaczał przede mną swe wiadomości, był jednak o wiele rzeczy zazdrosny. Odwiedziłem go na dwa lub trzy dni przed podróżą na okręcie Beagle i przy tej sposobności prosił mnie, abym zajrzał do mikroskopu i opisał, co widzę. Uczyniłem to i myślę teraz, że były to jakieś przedziwne ruchy protoplazmy w komórce roślinnej. Spytałem go, co to było i wówczas odpowiedział mi - chłopcu jeszcze prawie, i to porzucającemu Anglię na pięć lat: "A to jest mój mały sekret". Obawiał się, jak sądzę, że mogę mu ukraść jego odkrycie. Hooker mówił mi, że był on sknerą i sam wiedział o tym, że nim jest, jeśli chodziło o jego zielniki. Nie pożyczał on nigdy okazów Hookerowi, który zajmował się opisywaniem roślin Ziemi Ognistej, chociaż dobrze wiedział, że sam nigdy nie zrobi użytku ze zbiorów tego kraju. W innych przypadkach był zdolny do bardzo szlachetnych postępów. Na starość, kiedy już stracił zdrowie i zupełnie nie wytrzymał większego wysiłku, codziennie odwiedzał (jak mi mówił Hooker) swego starego służącego, który mieszkał dość daleko, pomagał mu

i czytywał na głos. To jedno wystarczy, aby wyrównać wszelkie przejawy naukowego skąpstwa i zazdrości. Lubił pokpiwać z tych wszystkich, którzy pisali o tym, czego on sam dokładnie nie rozumiał. Przypominam sobie, że gdy chwaliłem przed nim Whewella "History of the Inductive Sciences", odpowiedział: "Tak, przypuszczam, że przeczytał on przedmowy do bardzo wielu książek".

Mieszkając w Londynie, często widywałem Owena, lecz chociaż bardzo go podziwiałem, nigdy nie mogłem zrozumieć jego charakteru i nigdy nie byłem z nim w zażyłych stosunkach. Po ogłoszeniu "Powstawania gatunków" stał się moim zawziętym wrogiem nie dlatego, żeby doszło między nami do jakiejś kłótni, lecz, o ile mogę sądzić, z zazdrości wobec powodzenia tej książki. Kochany, biedny Falconer - ten czarujący człowiek - był o nim bardzo złego zdania; uważał, że był on nie tylko bardzo ambitny, bardzo zazdrosny i arogancki, lecz ponadto jeszcze nieszczerzy i nieuczciwy. Siła jego nienawiści była rzeczywiście bezgraniczna. Kiedy dawniej usiłowałem wobec Falconera bronić Owena, mówił mi często: "Sam go pan kiedyś pozna". I tak się też stało.

Nieco później bardzo się zbliżyłem do Hookera, który przez całe życie był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Był on niezwykle miłym kolegą i odznaczał się wyjątkowo dobrym sercem. Widać było od razu, że to człowiek szlachetny do szpiku kości. Umysł miał bardzo bystry i posiadał dużą zdolność do uogólnień. Nigdy nie widziałem tak nieustrzonego badacza; potrafił on siedzieć cały dzień nad mikroskopem, a wieczorem był wypoczęty i miły jak zawsze. Był zawsze impulsywny, a nieraz nieco zgryźliwy, lecz zwykle chmury rozpraszały się natychmiast. Pewnego razu napisał do mnie dziki niemal list z powodu, który komuś obcemu wydałby się śmiesznie drobny: chodziło mianowicie o to, że przez pewien czas trzymałem się niedorzecznej myśli, jakoby nasze rośliny okresu węglowego żyły ongiś w płytkich wodach mórz. Oburzenie jego było tym większe, że nie sposób nawet przypuszczać, by on sam mógł dojść do tego, że mangrowe (i kilka innych wymienionych przeze mnie roślin morskich) żyły w morzu, gdyby znał je tylko jako skamieniałości. Innym razem oburzył się podobnie, ponieważ pogardliwie odrzuciłem pogląd, że między Australią a Ameryką Południową rozciągał się niegdyś kontynent. Nie znałem chyba człowieka bardziej godnego kochania niż Hooker.

Nieco później zaprzyjaźniłem się z Huxleyem. Jego umysł działa szybko jak błyskawica i jest ostry jak brzytwa. Nie znałem lepszego mówcy. Nigdy nie pisze i nie mówi czegoś płytkiego. W czasie rozmowy z nim nikomu nie przyszło na myśl, że potrafi on tak ostro rozprawiać się ze swymi przeciwnikami, jak to tylko on

umie. Jest on najserdeczniejszym moim przyjacielem i zawsze jest gotów podjąć się dla mnie każdego trudu. W Anglii był główną ostoją zasady stopniowej ewolucji istot żywych. Jakkolwiek wspaniałe jest dzieło, którego dokonał w dziedzinie zoologii, to mógłby dać z siebie daleko więcej, gdyby jego czasu nie pochłaniały w tak znacznym stopniu oficjalne zajęcia, praca literacka, i dążenie do poprawy edukacji w naszym kraju. Mogłem mu wszystko powiedzieć. Przed wielu laty myślałem, że to wielka szkoda, iż atakował tak wielu uczonych, choć byłem przekonany, że w każdym poszczególnym przypadku miał rację; powiedziałem mu to. Z oburzeniem odrzucił ten zarzut, na co odpowiedziałem, iż cieszę się z mojej pomyłki. Mówiliśmy potem o jego słusznych atakach na Owena, a po jakimś czasie powiedziałem: "Jak doskonale ujawnił pan błędy Ehrenberga". Przyznał mi rację i dodał, że dla nauki konieczne jest ujawnianie takich błędów. Znowu po jakimś czasie rzuciłem: "Jakże się biedny Agassiz musiał czuć w pańskich rękach". I znowu dodałem jakieś inne nazwisko, na co przeszył mnie spojrzeniem swych błyszczących oczu, wybuchł śmiechem i rzucił jakieś osobliwe przekleństwo. Był to wspaniały człowiek, który wiele dobrego zdołał dla ludzkości.

Mógłbym tu wspomnieć jeszcze o kilku innych wybitnych ludziach, których zdarzyło mi się przypadkowo spotykać, ale niewiele ciekawego jest do nadmienienia. Czułem wielki szacunek dla sir Herschla i wiele przyjemności zaznałem podczas obiadów w jego uroczym domu na Przylądku Dobrej Nadziei, a potem w mieszkaniu londyńskim. Widywałem go także i przy innych okazjach. Nigdy nie mówił wiele, lecz warto było usłyszeć, każde słowo, które powiedział. Był bardzo nieśmiały i często miał strapiony wyraz twarzy. Lady Karolina Bell, u której byłem na obiedzie w jej domu na Przylądku Dobrej Nadziei, podziwiała Herschla, lecz mówiła o nim, że zawsze wchodzi do pokoju jakby świadom tego, że ma brudne ręce i że jego żona wie o tym.

Pewnego razu na śniadaniu w domu sir R. Murchisona spotkałem słynnego Humboldta, który wyświadczył mi ten zaszczyt, że wyraził chęć poznania mnie. Ten wielki człowiek sprawił mi nieco rozczarowania, widocznie zbyt wiele spodziewałem się po nim. Nie pamiętam dokładnie, o czym była mowa, wiem tylko, że Humboldt był bardzo wesoły i dużo mówił.

Zachodziłem dość często do Babbage'a i regularnie brałem udział w jego sławnych wieczornych przyjęciach. Zawsze warto było słuchać tego, co mówił; był on jednak człowiekiem zgorzkniałym i niezadowolonym, a wygląd miał zazwyczaj ponury. Nie przypuszczam, aby choć w połowie był tak złośliwy, za jakiego chciał uchodzić. Pewnego dnia powiedział mi, że wynalazł skuteczny sposób gaszenia

pożaru, lecz dodał: "Nie ogłoszę tego, niech ich wszystkich licho weźmie, niech się wszystkie ich domy spalą". Ci wszyscy - to mieszkańcy Londynu. Innego dnia opowiadał mi, że we Włoszech widział przy drodze pompę z pobożnym napisem, głoszącym, że właściciel zbudował ją z miłości do Boga i swego kraju, aby każdy strudzony wędrowiec mógł się napić wody. Babbage dokładnie zbadał pompę i przekonał się, że gdy podróżny pompuje trochę wody dla siebie, to równocześnie pompuje daleko więcej dla właściciela domu. Następnie Babbage dodał: "Tylko jednej rzeczy nienawidzę więcej niż pobożności, a tą jest patriotyzm". Przypuszczam jednak, że jego szczekanie było groźniejsze niż ukąszenia.

Rozmowa z Herbertem Spencerem była dla mnie bardzo ciekawa, lecz nie lubiłem go zbyt i nie wierzyłem, aby łatwo mi było zaprzyjaźnić się z nim. Sądzę, że był on wielkim egoistą. Po przeczytaniu jakiegokolwiek jego książki zawsze odczuwałem entuzjastyczny podziw dla jego wielkiego talentu i często zastanawiałem się, czy w dalekiej przyszłości nie będzie on uznany za równego tak wielkim ludziom, jak Descartes, Leibnitz etc., o których wszakże wiem niewiele. Mimo to jednak nie uważam, bym w mojej własnej pracy wiele skorzystał z pism Spencera. Jego dedukcyjny sposób traktowania każdego przedmiotu jest czymś krańcowo obcym strukturze mojej umysłowości. Jego wnioski nigdy nie były dla mnie przekonujące i czytając jego rozprawy stale sobie powtarzałem: "To może być pięknym przedmiotem pracy na dobrych kilka lat". Wydaje mi się, że jego podstawowe uogólnienia (niektórzy porównują je pod względem ich znaczenia do praw Newtona!) - bardzo cenne, rzecz można, z filozoficznego punktu widzenia - mają taki w gruncie rzeczy charakter, że nie mogą znaleźć ściśle naukowego zastosowania. Dotyczą one raczej istoty definicji niż praw przyrody. Nie pomagają one w przewidywaniu tego, co się stanie w jakimś poszczególnym przypadku. W każdym razie mnie nie przyniosły one żadnego pożytku.

Gdy mówię o H. Spencerze, przypomina mi się Buckle, którego spotkałem raz u Hensleigha Wedgwooda. Byłem zadowolony z poznania jego systemu gromadzenia faktów. Mówił mi, że kupuje wszystkie książki, które ma zamiar przeczytać, i z każdej z nich sporządza dokładny skorowidz zawierający fakty, które - jak sądzi - mogą mu okazać się użyteczne. A ponieważ ma wspaniałą pamięć, w każdej chwili może przypomnieć sobie, co w jakiej książce przeczytał. Spytałem go wtedy, w jaki sposób może przewidzieć z góry, które fakty mogą mu być przydatne, na co odpowiedział, że dobrze tego nie wie, ale kieruje się czymś w rodzaju instynktu. Dzięki zwyczajowi sporządzania skorowidzów mógł on podać zadziwiająco liczbę informacji o tych wszystkich najważniejszych sprawach, które znajdujemy w jego "Historii cywilizacji". Uważałem, że to bardzo ciekawa książka

i przeczytałem ją dwa razy, wątpię jednak, aby jego uogólnienia miały jakąkolwiek wartość. H. Spencer mówił mi, że nigdy nie przeczytał z niej ani jednego wiersza. Buckle był mistrzem w rozmowie i słuchałem go nie wtrącając ani słowa, a trudno nawet byłoby coś powiedzieć, gdyż mówił on bez chwili przerwy. Gdy Effie [Eufenia Wedgwood, później poślubiła T. H. Farrera (wg Nory Barlow)] zaczęła śpiewać zerwałem się i powiedziałem, że muszę jej posłuchać. Sądzę, że obraził się, skoro bowiem odszedłem, zwrócił się do swego przyjaciela i powiedział (jak usłyszał mój brat): "Książki p. Darwina są o wiele lepsze niż rozmowa z nim". W rzeczywistości chodziło mu o to, że jego przemówienie nie zostało należycie przeze mnie ocenione.

Z innych wybitnych literatów spotkałem kiedyś Sydneya Smitha w domu dziekana Milmana. W każdym jego słowie było coś niewypowiedziane zabawnego. Pochodziło to zapewne częściowo stąd, iż z góry oczekiwano po nim rzeczy zabawnych. Opowiadając o sędziwej lady Cork, która kiedyś do tego stopnia wzruszyła się jego kazaniem o miłosierdziu, iż pożyczwszy od znajomego gwineę położyła ją na tacy, tak się wyraził: "Jest rzeczą ogólnie wiadomą, iż moja droga, stara przyjaciółka lady Cork została przeoczona"; a powiedział to w ten sposób, że nikt ani na chwilę nie wątpił, że jego stara przyjaciółka została przeoczona przez diabła. W jaki sposób zdołał on to wyrazić, tego nie wiem.

Kiedyś spotkałem też Macaulaya w domu lorda Stanhope'a (historyka), a ponieważ poza nami była jedna jeszcze tylko osoba na obiedzie, miałem doskonałą sposobność, by z nim porozmawiać, a był to bardzo przyjemny człowiek. Przy tym wcale nie mówił za dużo, nie można bowiem tak powiedzieć o kimś, kto pozostawia również innym możliwość kierowania tokiem konwersacji, a on tak właśnie się zachowywał.

Lord Stanhope przytoczył mi raz ciekawy szczegół świadczący o dokładności i ogromie pamięci Macaulaya. W domu lorda Stanhope'a schodziło się zazwyczaj wielu historyków; rozmawiali oni o różnych sprawach i nieraz wyrażali poglądy odmienne od zapatrywań Macaulaya. Początkowo w takich wypadkach zaglądano do jakiejś książki, aby sprawdzić, kto ma rację, lecz później lord Stanhope zauważył, że żaden historyk nie zadawał sobie tyle trudu i zdanie Macaulaya uważano za ostateczne.

Kiedy indziej znów spotkałem podczas zebrania historyków w domu Stanhopea innych ludzi pióra, a między nimi Motleya i Grote'a. Po drugim śniadaniu spacerowałem prawie przez godzinę z Grotem po Chevening Park; rozmowa z nim

była bardzo interesująca, przy czym mile mnie uderzyła prostota i bezpretensjonalność jego sposobu bycia.

Z innym znów gronem znanych ludzi zetknąłem się na śniadaniu w domu lorda Stanhope'a w Londynie. Po śniadaniu wszedł Monckton Milnes (obecny lord Houghton) i rozejrzawszy się dokoła wykrzyknął (jakby na potwierdzenie swego przezwiska "wieczorny chłód", danego mu przez Sidney Smitha): "No cóż, stwierdzam, że wszyscy jesteście strasznie niedojrzali".

Wiele lat przedtem jadałem od czasu do czasu obiady ze starym hrabią Stanhope, ojcem historyka. Słyszałem, że jego znów ojciec, bardzo znany w czasach rewolucji francuskiej demokratyczny hrabia, polecił wykształcić swego syna na kowala, gdyż jego zdaniem każdy człowiek powinien znać jakieś rękodzieło. Stary hrabia, którego również znałem, był wielkim oryginałem. Podobał mi się bardzo, choć niewiele o nim wiedziałem. Miał bardzo wyraziste rysy, śniadą cerę, a ilekroć go widziałem, miał na sobie zawsze brązowe ubranie. Wierzył, jak się zdaje, we wszystko, co dla innych było całkowicie niewiarygodne. Powiedział mi kiedyś: "Dlaczego nie porzuci pan tych geologicznych i zoologicznych hocków-klocków i nie zwróci się pan do wiedzy tajemnej?". Historyka (wtedy jeszcze lorda Mahon), zdaje się, zaszokowała ta uwaga skierowana do mnie, a jego urocza małżonka była bardzo ubawiona.

Na ostatku chciałbym wspomnieć Carlyle'a, którego widywałem w domu mego brata, a dwa czy trzy razy w moim własnym. Mówił on w sposób barwny i interesujący, tak właśnie jak pisał, lecz czasami zbyt długo zatrzymywał się na tym samym przedmiocie. Przypominam sobie zabawny obiad u mego brata, na którym między innymi byli Babbage i Lyell, obaj bardzo rozmowni. Carlyle jednak nie dopuścił do głosu nikogo rozprawiając przez cały czas trwania obiadu o zaletach milczenia. Po obiedzie Babbage z najbardziej ponurą ze swych min podziękował Carlyle'owi za bardzo ciekawy Wykład o Milczeniu.

Carlyle drwił sobie ze wszystkich. Pewnego razu w moim domu nazwał on "Historię" Grote'a "zupełnie bezdusznym, cuchnącym bagnem". Dopóki nie ukazały się jego "Wspomnienia", myślałem zawsze, że w jego drwinach jest coś z żartów, lecz teraz raczej w to wątpię. Miał wygląd przygnębionego, prawie zniechęconego, a jednak życzliwego człowieka, a jego serdeczny śmiech był wszystkim znany. Sądzę, że ta jego życzliwość była prawdziwa, choć nieco zabarwiona zazdrością. Miał niewątpliwie zdolność tworzenia żywych obrazów

rzeczy i ludzi, o wiele większą, jak mi się zdaje, niż Macaulay. Inna to sprawa, czy sylwetki ludzi były prawdziwe.

Miał nieodparty dar narzucania umysłom ludzkim pewnych wielkich prawd moralnych. Z drugiej zaś strony oburzające były jego poglądy na niewolnictwo. W jego oczach siła równała się prawu. Moim zdaniem był to umysł ograniczony, nawet jeśli nie brać pod uwagę pogardy, jaką żywił dla wszystkich gałęzi wiedzy przyrodniczej. Dziwi mnie, że Kingsley mógł mówić o nim jako o człowieku zdolnym pchnąć wiedzę na drogę postępu. Pogardliwie wyśmiał myśl, którą podtrzymywałem, by matematyk, taki jak Whewell, mógł rozpatrywać poglądy Goethego na światło. Uważał za rzecz zupełnie śmieszną, że ktoś w ogóle może zastanawiać się nad tym, czy lodowiec porusza się nieco szybciej, czy nieco wolniej, czy też w ogóle nie wykazuje ruchu. O ile mogę sądzić, nie spotkałem nigdy człowieka mniej zdolnego do badań naukowych niż Carlyle.

Podczas mego pobytu w Londynie regularnie brałem udział w zebraniach wielu towarzystw naukowych i byłem aktywnym sekretarzem Towarzystwa Geologicznego. Lecz zarówno udział w posiedzeniach, jak zwyczajne życie towarzyskie tak źle wpływało na moje zdrowie, że postanowiliśmy osiąść na wsi, co też uczyniliśmy i czego nigdy nie żalowaliśmy.

### **ŻYCIE W DOWN OD 14 WRZEŚNIA 1842 DO CHWILI OBECNEJ, 1876 R.**

Po wielu bezowocnych poszukiwaniach w Surrey i w innych okolicach wynaleźliśmy ten dom i kupiliśmy go. Podobała mi się różnorodność roślinności, właściwa tej okolicy o podłożu kredowym i tak niepodobna do tej, do której przywykłem w hrabstwach środkowej Anglii. Jeszcze bardziej zachwycał mnie nadzwyczajny sposób i sielskość miejscowości. Nie leży jednak ona tak na uboczu, jak to pisał w jakimś niemieckim czasopiśmie pewien pisarz, który twierdził, że do mego domu można się dostać ścieżką dostępną tylko dla mułów. Nasz wybór okazał się doskonały również pod innym względem, który wtedy nie był brany pod uwagę. Mianowicie okazało się, że miejsce to sprzyja częstym odwiedzinom naszych dzieci, które nigdy nie ominęły żadnej takiej sposobności, o ile tylko było to możliwe.

Niewielu ludzi wiodło życie bardziej odosobnione niż my. Poza krótkimi odwiedzinami krewnych czy też częstymi wyjazdami nad morze lub gdziekolwiek indziej, nigdy prawie nie opuszczaliśmy domu. Początkowo bywaliśmy trochę w towarzystwie i przyjmowaliśmy kilku przyjaciół, lecz zawsze tego rodzaju



podniety odbijały się na moim zdrowiu, zaczynały się ataki gwałtownych dreszczy i torsji. Byłem przeto zmuszony na wiele lat zaniechać urządzania prozonych obiadów, co było dla mnie pewnym wyrzeczeniem, gdyż takie przyjęcia wprawiały mnie zawsze w dobry humor. Z tych samych przyczyn mogłem zapraszać do siebie nielicznych tylko znajomych naukowców. Jako człowiek młody i pełen zdrowia umiałem bardzo serdecznie przywiązać się do kogoś, lecz w późniejszych latach, choć wciąż jeszcze do wielu osób żywie uczucie wielkiej przyjaźni, utraciłem zdolność do tak silnego przywiązania. Nawet do moich dobrych i drogich przyjaciół Hookera i Huxleya nie jestem już tak głęboko przywiązany jak dawniej. O ile wolno mi sądzić, ten pożałowania godny odpływ uczuć nastąpił stopniowo i związany był z oczekiwaniem niedomagań, jakie szły w ślad za zmęczeniem, a to kójarzyło się w moim umyśle ze spotkaniami i dłuższymi rozmowami z kimkolwiek z wyjątkiem żony i dzieci.

Główną moją przyjemnością i jedynym zajęciem była przez całe życie praca naukowa, a wzruszenie, które mi dawała, kazało mi na czas jakiś zapominać o codziennych dolegliwościach, a nawet je usuwało. Nie mam przeto nic do zanotowania z całej reszty mego życia poza publikacją moich licznych książek. Warto być może podać parę szczegółów o tym, jak one powstawały.

## **NIKTÓRE MOJE PUBLIKACJE**

Na początku 1844 r. ukazały się moje spostrzeżenia dotyczące wysp wulkanicznych, które zwiedziłem w czasie podróży na okręcie Beagle. W 1845 roku poświęciłem wiele pracy korekcie nowego wydania mojego "Dziennika podróży" ["Journal of Researches"], który początkowo ukazał się w 1839 r. jako część dzieła Fitz-Roya. Powodzenie tego mojego pierwszego literackiego dziełka zawsze łąchce mą próżność więcej, niż powodzenie jakiegokolwiek innej mojej książki. Po dziś dzień ma ona chętnych nabywców w Anglii i Stanach Zjednoczonych i została przetłumaczona na niemiecki, francuski i inne języki. Takie powodzenie książki podróżniczej, zwłaszcza naukowej, w tak wiele lat po jej ogłoszeniu jest doprawdy rzeczą zaskakującą. Obecnie rozprzedano w Anglii dziesięć tysięcy egzemplarzy drugiego wydania. W 1846 r. zostały ogłoszone moje "Geological Observations on South America". W dzienniczku, który stale prowadzę, zanotowałem, że trzy moje geologiczne książki (łącznie z "Rafami koralowymi") kosztowały mnie trzy i pół roku nieustannej pracy, a właśnie minęło już dziesięć lat od chwili mego powrotu do Anglii. Jakże wiele z tego czasu zabrała mi choroba. O tych trzech książkach nie mam nic więcej do powiedzenia, oprócz tego chyba, że ostatnio zażądano nowych wydań.

W październiku 1846 r. rozpocząłem pracę nad skorupiakami wąsonogimi. Bawiąc na wybrzeżu Chile znalazłem niezwykle ciekawą formę skorupiaką, który wdraża się w muszle *Concholepas* i tak znacznie różni się od innych *Cirripedia*, że dla niego jednego musiałem stworzyć nowy podrząd. Pokrewny rodzaj drażący muszle znaleziono ostatnio na wybrzeżach Portugalii. Aby zrozumieć budowę mojego nowego wąsonoga, musiałem badać i preparować wiele form pospolitych, co stopniowo skłoniło mnie do zajęcia się całą grupą. Pracowałem nad tym bez przerwy przez następnych osiem lat i w końcu opublikowałem dwa grube tomy, a ponadto jeszcze dwie cienkie książki in quarto o gatunkach wymarłych. Nie ulega wątpliwości, że sir E. Lytton Bulwer z myślą o mnie wprowadził do jednej ze swych powieści profesora Longa, który napisał dwa potężne tomy o ślimakach przytwierdzonych do skał [Limpets].

Chociaż pracą tą zajmowałem się przez osiem lat, to około dwu lat, jak to odnotowałem w dzienniku, zabrała mi choroba. Z tego właśnie powodu w 1848 r. wyjechałem na kilka miesięcy do Malvern, gdzie leczyłem się hydropatią, co tak dobrze na mnie podziałało, że po powrocie do domu byłem zdolny podjąć pracę. Jednakże wciąż niedomagałem tak bardzo, że gdy 13 listopada 1847 r. umarł mój drogi ojciec, nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie, ani też spełnić obowiązków jednego z wykonawców jego testamentu [pomyłka K. Darwina: ojciec jego zmarł w 1848 r - tłum.].

Moja praca nad skorupiakami wąsonogimi ma, jak sędzę, znaczną wartość, gdyż oprócz tego, że opisałem w niej wiele nowych i ciekawych form, wskazałem na homologię różnych ich części, odkryłem narząd cementowy - chociaż coś strasznie naplątałem z gruczołami cementowymi - a wreszcie dowiodłem, że u pewnych rodzajów występują dodatkowo karłowate samce, które pasożytują na formach obojnaczych. To ostatecznie odkrycie zostało ostatecznie całkowicie potwierdzone, choć w swoim czasie jeden z niemieckich autorów przypisywał je mojej bujnej wyobraźni. Wąsonogi tworzą bardzo zmienną i trudną do oznaczania grupę gatunków. Praca nad nimi przyniosła mi znaczną korzyść, gdy w "Powstawaniu gatunków" trzeba było zastanowić się nad zasadami podziału naturalnego. Mimo to wątpię, by warto było tej pracy poświęcić aż tak wiele czasu.

Począwszy od września 1854 r. cały mój czas poświęciłem porządkowaniu olbrzymiej masy zapisków, a również obserwacjom i doświadczeniom dotyczącym transmutacji gatunków. W czasie podróży na okręcie *Beagle* wielkie wrażenie wywarło na mnie odkrycie w formacji pampasowej wielkich kopalnych zwierząt z

pancerzem podobnym do żyjących pancerników; po drugie, sposób, w jaki pewne zwierzęta zajmują miejsce innych blisko spokrewnionych zwierząt w miarę tego jak posuwamy się po kontynencie w kierunku południowym; i po trzecie, południowoamerykański charakter większości mieszkańców archipelagu Galapagos, szczególnie zaś to, że między mieszkańcami poszczególnych wysp archipelagu są pewne nieznaczne różnice, żadna zaś z tych wysp nie jest bardzo stara w sensie geologicznym.

Było rzeczą oczywistą, że można wytłumaczyć zarówno te fakty, jak też wiele innych zakładając, iż gatunki stopniowo się zmieniały; zagadnienie to nie dawało mi spokoju. Jest jednak rzeczą równie oczywistą, że ani działanie otaczających warunków, ani wola organizmów (zwłaszcza odnosi się to do roślin) nie mogą wyjaśnić tych niezliczonych przykładów doskonałego przystosowania wszelkiego rodzaju organizmów do właściwego im sposobu życia; na przykład dzieciół lub rzekotka drzewna są przystosowane do wspinania się na drzewa, a nasiona do rozsiewania się za pomocą haczyków i puchu. Owe przystosowania zawsze bardzo mnie zadziwiały i wydawało mi się, że dopóki nie można ich wytłumaczyć, bezcelowe byłyby wszelkie próby wykazania na podstawie dowodów pośrednich, że gatunki się zmieniają.

Po powrocie do Anglii przyszło mi na myśl, że idąc za przykładem tego co uczynił Lyell w geologii i zbierając wszystkie fakty, które w jakiś sposób wiążą się ze zmiennością zwierząt i roślin w stanie udomowienia i w stanie natury, można będzie rzucić nieco światła na całe to zagadnienie. Pierwszy mój notatnik datuje się z lipca 1837 r. Pracowałem ściśle według zasad Bacona i bez żadnej teorii, na dużą skalę zbierałem fakty ze szczególnym uwzględnieniem danych dotyczących form udomowionych, posługiwałem się drukowanymi kwestionariuszami, prowadziłem rozmowy z wybitnymi hodowcami i ogrodnikami, bardzo dużo czytałem. Gdy patrzę na spis różnego rodzaju książek, które wtedy przeczytałem i z których robiłem wyciągi, włączając w to szereg czasopism i rozpraw, zdumiewa mnie własna pilność. Wkrótce dostrzegłem, że kamieniem węgielnym osiągnięć człowieka w wytwarzaniu użytecznych ras zwierząt i roślin jest selekcja. Lecz wciąż jeszcze było dla mnie zagadką, jakie zastosowanie mogła mieć selekcja u organizmów żyjących w stanie natury.

W październiku 1838 r., tj. piętnaście miesięcy po rozpoczęciu systematycznych badań, przypadkowo dla rozrywki przeczytałem pracę Malthusa "O zaludnieniu", a ponieważ przez ciągłą obserwację zwyczajów zwierząt i roślin byłem nastawiony tak, że mogłem docenić znaczenie walki o byt, która toczy się wszędzie, od razu

uderzyła mnie myśl, że w tych warunkach zmiany korzystne będą wykazywać tendencję do utrzymywania się, a niekorzystne - do zanikania. W wyniku tego będą powstawać nowe gatunki. Tak więc dorobiłem się teorii, w oparciu o którą mogłem dalej pracować; ponieważ jednak starałem się unikać powziętych z góry założeń, postanowiłem na razie jej nie spisywać w najkrótszym nawet zarysie. W czerwcu 1842 r. pozwoliłem sobie skreślić ołówkiem na 35 stronicach bardzo krótkie streszczenie teorii. Szkic ten rozszerzyłem w lecie 1844 r. do 230 stronic i porządnie go przepisaawszy przechowuję do dnia dzisiejszego.

Przeoczyłem wtedy wszakże jeden bardzo ważny problem; dziwi mnie bardzo, że przeoczyłem i sam problem, i jego rozwiązanie, chyba że było to tak jak z jajkiem Kolumba. Ten problem to skłonność do rozbieżności cech u istot uorganizowanych powstałych z tego samego pnia - w miarę tego jak ulegają one zmianom. O tym, że zachodzi znaczna rozbieżność świadczy wyraźnie możliwość zaszeregowania wszelkich gatunków do rodzajów, rodzajów do rodzin, rodzin do podrzędów itd. Dokładnie pamiętam ten odcinek drogi, na którym - ku mojej radości - w czasie jazdy powozem przyszło mi na myśl rozwiązanie; było to już długo po moim osiedleniu się w Down. Rozwiązanie to - jak sądzę - polega na tym, że zmodyfikowane potomstwo wszelkich panujących i wzrastających liczebnie form dąży do przystosowania się do licznych i wysoce zróżnicowanych miejsc w gospodarce przyrody.

Z początkiem 1856 r. Lyell poradził mi, abym szczegółowo spisał całość moich poglądów, z miejsca więc zabrałem się do tego na skalę trzy- lub czterokrotnie większą, niż to mi później wyszło w "Powstawaniu gatunków". A był to jedynie wyciąg z materiałów, które nagromadziłem, przy czym w tej skali wykonałem swą pracę tylko w połowie. Plan mój jednak zarzuciłem, gdy z początkiem lata 1858 r. p. Wallace, który przebywał wówczas na Archipelagu Malajskim, przysłał mi rozprawę "On the Tendency of Varieties to depart indefinitely from the Original Type". Rozprawa ta zawierała dokładnie taką samą teorię jak moja. Pan Wallace wyraził życzenie, abym przesłał jego pracę Lyellowi do przeczytania, o ile będzie mi się ona podobała.

"Journal of the Proceedings of the Linnean Society", 1858 r., s. 45, podaje okoliczności, w których zgodziłem się z życzeniem Lyella i Hookera, aby wyciąg z mojego rękopisu wraz z listem do Asy Graya, datowany z 5 września 1857 r., został ogłoszony równocześnie z rozprawą Wallace'a. Początkowo bardzo niechętnie na to przystałem, gdyż sądziłem, że pan Wallace może uważać takie postępowanie za niedopuszczalne. Wówczas bowiem jeszcze nie znałem jego

wspaniałomyślności i szlachetności. Wyciąg z mojego rękopisu i list do Asy Graya nie były przeznaczone do publikacji i nie były starannie napisane. Rozprawa p. Wallace'a przeciwnie, była doskonale i zupełnie jasno opracowana. Mimo to nasze tak połączone prace nie zwróciły większej uwagi, a jedyna ogłoszona o nich wzmianka pochodziła - o ile sobie przypominam - od profesora Hughtona z Dublina, który ocenił je w ten sposób, że wszystko co jest w nich nowe, jest błędne, a co jest prawdziwe, było już od dawna znane. Wskazuje to, jak bardzo konieczną rzeczą jest szczegółowe wyjaśnienie nowego poglądu, aby mógł on wzbudzić ogólne zainteresowanie.

We wrześniu 1858 r. na skutek usilnych namów Lyella i Hookera przystąpiłem do pracy nad przygotowaniem książki o transmutacji gatunków, lecz często musiałem ją przerywać z powodu choroby i krótkich wyjazdów do doskonałego zakładu hydropatycznego dra Lane'a w Moor Park. Skróciłem rękopis rozpoczęty w 1856 r. na o wiele większą skalę i zakończyłem książkę w tak zredukowanych rozmiarach. Kosztowała mnie ona trzynaście miesięcy i dziesięć dni ciężkiej pracy. Została opublikowana w listopadzie 1859 r. pod tytułem "O powstawaniu gatunków". W następnych wydaniach wprowadzono wprawdzie poważne uzupełnienia i poprawki, mimo to dzieło w gruncie rzeczy nie zostało zmienione.

Bez wątpienia jest to główne dzieło mojego życia. Od samego początku cieszyło się wielkim powodzeniem. Pierwszy niewielki nakład 1250 egzemplarzy rozsprzedano w dniu ukazania się, a wkrótce potem drugie wydanie w 3000 egzemplarzy. Obecnie (1876 r.) sprzedano w Anglii szesnaście tysięcy egzemplarzy, co jest rzeczywiście liczbą bardzo dużą, jeżeli się zważy, że jest to trudna książka. Przetłumaczono ją prawie na wszystkie języki europejskie, nawet na hiszpański, czeski, polski i rosyjski. Jak twierdzi panna Bird [Jak się dowiaduję od prof. Mitsukuri, panna Bird była w błędzie - F. Darwin], książka została przetłumaczona na język japoński i jest w Japonii pilnie studiowana. Ukazał się nawet esej w języku hebrajskim, wykazujący, że teorię tę znajdujemy już w Starym Testamencie. Recenzji było bardzo wiele. Przez jakiś czas zbierałem wszystko, co się ukazywało o "Powstawaniu" i innych moich książkach związanych z tym tematem; doszedłem do 265 pozycji (włączając w to recenzje w czasopiśmie), później z desperacji rzuciłem to wszystko. Opublikowano różne rozprawy i książki na ten temat, a w Niemczech co rok lub co dwa ukazuje się katalog czy też bibliografia "darwinizmu".

Powodzenia "Powstawania" można, jak sądzę, w dużej mierze przypisać temu, że już poprzednio napisałem dwa skondensowane szkice i że ostatecznie skróciłem o

wiele obszerniejszy rękopis, który z kolei był też tylko wyciągiem. Dzięki temu mogłem dokonać wyboru najbardziej uderzających faktów i wniosków. Przez wiele lat hołdowałem też następującej złotej zasadzie: jeśli mianowicie kiedykolwiek zdarzyło mi się zetknąć z jakimś ogłoszonym faktem, nowym spostrzeżeniem lub własną moją myślą przeczącą moim ogólnym wynikom, natychmiast to sobie zapisywałem; doświadczenie bowiem przekonało mnie, że takie fakty i myśli łatwiej zapomina się niż te, które przemawiają za teorią. Dzięki temu przyzwyczajeniu niewiele wysunięto takich obiekcji przeciw moim poglądom, których bym sam nie dostrzegł i na które bym nie starał się dać odpowiedzi.

Mówiono czasami, że powodzenie "Powstawania" dowodzi, że "temat wisiał w powietrzu" lub że "umysły były do tego przygotowane". Nie myślę, aby to ściśle odpowiadało prawdzie, gdyż przy każdej okazji sondowałem opinię wielu przyrodników i nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego, który by wątpił o stałości gatunków. Nawet Lyell i Hooker, którzy wysłuchiwali mnie z zainteresowaniem, właściwie nigdy się ze mną nie zgadzali. Raz czy dwa razy próbowałem wyjaśnić pewnym zdolnym ludziom, co rozumiem przez dobór naturalny, lecz nigdy mi się to nie udało. Jest jednak, jak myślę, prawdą, że w umysłach przyrodników nagromadziła się niezliczona ilość dobrze zbadanych faktów, które mogły znaleźć właściwe miejsce z chwilą, gdy została dostatecznie jasno wyłożona jakaś teoria obejmująca te fakty. Innym powodem powodzenia książki były jej ograniczone rozmiary, co zawdzięczam rozprawie p. Wallace'a. Gdybym bowiem opublikował książkę w rozmiarach, w jakich zacząłem ją pisać w 1856 r., powstałoby dzieło cztery lub pięć razy obszerniejsze niż "Powstawanie" i niewielu ludzi miałoby cierpliwość je przeczytać.

Wiele też zyskałem zwlekając z publikacją od roku 1839, to jest od czasu, gdy teoria już jasno mi się przedstawiała, aż do roku 1859. Nic przez to nie straciłem, gdyż zawsze niewiele troszczyłem się o to, komu ludzie przypiszą więcej oryginalności - mnie czy też Wallace'owi, a jego rozprawa bez wątpienia przyczyniła się do recepcji teorii. Wyprzedzono mnie natomiast w jednym ważnym punkcie, przez co zawsze cierpiała moja próżność, a mianowicie w wyjaśnieniu wpływu okresu lodowcowego na to, że te same gatunki roślin i niektórych zwierząt występują na szczytach gór i w okolicach arktycznych, w wielkiej od siebie odległości. Wyjaśnienie to tak mi się spodobało, że napisałem je *in extenso*, a Hooker czytał je na kilka lat przedtem, nim została opublikowana słynna rozprawa E. Forbesa na ten sam temat. Wciąż jednak myślę, że miałem rację w tych niewielu

punktach, w których poglądy nasze różniły się. Nigdy oczywiście w druku nie wspomniałem o niezależnym opracowaniu przeze mnie tego problemu.

W czasie pracy nad "Powstawaniem" nic nie sprawiło mi większej satysfakcji, jak wyjaśnienie dużych w wielu gromadach różnic między zarodkiem a postacią dojrzalą oraz ścisłego podobieństwa zarodków w obrębie tej samej gromady. W pierwszych recenzjach "Powstawania" nie było - o ile sobie przypominam - ani jednej wzmianki o tym i pamiętam, że w liście do Asy Graya wyraziłem z tego powodu zdziwienie. Później niektórzy recenzenci przypisywali tę myśl Fritzowi Müllerowi i Haecklowi, którzy bez wątpienia opracowali to zagadnienie szerzej i pod pewnymi względami lepiej niż ja. Miałem materiały do całego rozdziału o tym przedmiocie i powinienem był szerzej go opracować. Jasne jest wszakże, że nie potrafiłem zainteresować moich czytelników i cała zasługa powinna być według mego zdania przypisana temu, komu to się udało.

To skłania mnie do nadmienienia, że moi recenzenci prawie zawsze odnosili się do mnie uczciwie, o ile pominiemy tych, którym brakowało wiedzy naukowej, a więc nie warto o nich wspominać. Poglądy moje były często bardzo wypaczane, spotykały się nieraz z gwałtowną opozycją, ośmieszano je, lecz zazwyczaj robiono to - jak sądzę - w dobrej wierze. Muszę jednak z tego wyłączyć p. Mivarta, który jak to wyraził w swym liście pewien Amerykanin zachował się w stosunku do mnie jak "lichy pokątny doradca" [pettifogger] lub - jak to mawiał Huxley - jak "adwokat z Old Bailey". W sumie moje prace zbyt często były bardzo przechwalane. Rad jestem, że unikałem sporów, a to dzięki Lyellowi, który wiele lat temu po ogłoszeniu moich prac geologicznych usilnie radził mi nie dać się wciągnąć w polemikę, gdyż rzadko przynosi ona jakąś korzyść, a powoduje dodatkową stratę czasu i zdenerwowanie.

Ilekoć zdarzyło mi się, że popełniłem jakiś błąd lub że są jakieś niedokładności w mojej pracy, ilekoć mnie w sposób złośliwy krytykowano lub nawet gdy mnie tak przechwalano, iż czułem się tym wszystkim zmęczony, największą pociechą przynosiło mi stałe powtarzanie sobie, że "pracowałem tak usilnie i tak dobrze, jak tylko potrafiłem, a przecież żaden człowiek nie może zrobić nic ponadto". Pamiętam, jak w Zatoce Good Success w Ziemi Ognistej myślałem (i - zdaje się - pisałem o tym do domu), że nie potrafiłbym zrobić lepszego użytku z mego życia, jak właśnie przez dokonanie najmniejszego choćby wkładu do wiedzy przyrodniczej. Czyniłem to tak dobrze, jak na to pozwalały moje zdolności, i niech sobie krytycy mówią, co im się podoba - nic nie może obalić tego przeświadczenia.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy 1859 roku byłem całkowicie pochłonięty przygotowaniem drugiego wydania "Powstawania" i olbrzymią korespondencją. 7 stycznia 1860 roku zacząłem porządkować moje notatki do dzieła o "Zmienności zwierząt i roślin w stanie udomowienia", które jednak ogłosiłem dopiero na początku 1868 r. Przyczyną tego opóźnienia były częściowo częste choroby, z których jedna trwała siedem miesięcy, a częściowo pokusa ogłaszania prac na inne tematy, które w danym momencie więcej mnie interesowały.

15 maja 1862 r. ukazała się moja książeczka "Fertilisation of Orchids". Która kosztowała mnie dziesięć miesięcy pracy; większość faktów podanych w niej gromadziłem powoli w ciągu wielu poprzednich lat. W 1839 r., latem, a myślę, że również już w ciągu poprzedniego lata, musiałem zwrócić uwagę na krzyżowe zapylanie kwiatów przez owady, gdyż w moich spekulacjach nad powstawaniem gatunków doszedłem do wniosku, że krzyżowanie odgrywało ważną rolę w utrzymaniu się form gatunkowych w stanie niezmiennym. Zajmowałem się tym zagadnieniem więcej lub mniej w okresie letnim każdego następnego roku, a moje zainteresowanie znacznie wzrosło w listopadzie 1841 r., to znaczy gdy za radą Roberta Browna dostałem i przeczytałem wspaniałą książkę C. K. Sprengla - "Das entdeckte Geheimniss der Natur". Przez kilka lat - do 1862 r. - zajmowałem się specjalnie zapłodnieniem u brytyjskich storczyków. Wydawało mi się, że będzie bardziej celowe, jeśli przygotuję w miarę moich możliwości wyczerpujący traktat o tej grupie roślin, niż jeślibym miał zrobić użytek z olbrzymiej masy powoli gromadzonego materiału dotyczącego również innych roślin.

Postanowienie moje okazało się słuszne, gdyż od czasu ukazania się mojej książki ogłoszono zadziwiająco wprost liczbę prac i książek o zapłodnieniu wszelkiego rodzaju roślin kwiatowych; były one o wiele lepiej opracowane, niżbym ja mógł to zrobić. Zasługi starego, biednego Sprengla, tak długo zapoznane, teraz, w wiele lat po jego śmierci, zostały w pełni docenione.

W tym samym roku ogłosiłem w "Journal of the Linnean Society" artykuł "On the Two Forms or Dimorphic Condition of Primula", a w ciągu następnych pięciu lat pięć dalszych prac o roślinach dwu- i trójpostaciowych. Nie sądzę, aby cokolwiek w moim naukowym życiu dało mi większe zadowolenie niż wyjaśnienie budowy tych roślin. W roku 1838 i 1839 zauważyłem dimorfizm u lnu złocistego [*Linum flavum*] i początkowo myślałem, że jest to tylko przypadek jakiejś niezrozumiałej [unmeaning] zmienności. Badając jednakże pospolite gatunki pierwiosnki zauważyłem, że obie formy są zbyt prawidłowe i stałe, by można to było tak traktować. Doszedłem przeto do przekonania, że pospolita *Primula veris* i inne



pierwiosnki są na drodze do osiągnięcia dwupienności i że krótki słupek u jednej oraz krótkie pręciki u drugiej formy wykazują tendencję do zanikania [abortion]. Zbadano więc te rośliny pod tym kątem widzenia, lecz gdy okazało się, że kwiaty z krótkimi słupkami zapłodnione pyłkiem z krótkich pręcików dawały więcej nasion niż jakiegokolwiek inne z czterech możliwych kombinacji, hipoteza zanikania [abortion theory] wzięła w łeb. Po dodatkowych doświadczeniach stało się jasne, że obie formy, choć doskonale obupłciowe, pozostają względem siebie w takim stosunku, jak dwie płcie u jakiegokolwiek zwierzęcia. Krwawnica [*Lythrum*] jest jeszcze bardziej zadziwiającym przykładem występowania trzech form pozostających do siebie w podobnym stosunku. Wykazałem później, że potomstwo powstałe w wyniku połączenia dwu roślin należących do tych samych form przedstawia bliską i ciekawą analogię z mieszańcami powstającymi z połączenia dwóch odrębnych gatunków.

W jesieni 1864 r. zakończyłem obszerną pracę: "Climbing Plants" i przesłałem ją do Towarzystwa im. Linneusza. Pracę tę pisałem cztery miesiące, lecz gdy otrzymałem korektę, czułem się tak niedobrze, że nie tknąłem jej, choć było to kiepsko, a miejscami wręcz niejasno napisane. Praca ta nie zwróciła większej uwagi, lecz gdy w 1875 r. poprawiłem ją i ogłosiłem jako oddzielną książkę, rozeszła się szybko. Do podjęcia tego tematu skłoniło mnie przeczytanie krótkiej, ogłoszonej w 1858 r. pracy Asy Graya o ruchach wąsów u dyniowatych. Przysłał mi on nasiona; wyhodowawszy z nich kilka roślin byłem tak zafascynowany i zadziwiony wijącymi ruchami wąsów i pędów, w rzeczywistości bardzo prostymi, choć na pozór zdają się bardzo skomplikowane, iż postarałem się o różne rodzaje roślin pnących i przestudiowałem całość zagadnienia. Temat ten zajmował mnie tym bardziej, że zupełnie nie zgadzałem się z wyjaśnieniem, które podawał nam Henslow w swych wykładach o roślinach pnących, a mianowicie że wykazują one naturalną dążność do wzrastania po linii spiralnej. To wyjaśnienie okazało się całkowicie błędne. Pewne przystosowania, które wykazują rośliny pnące, są tak piękne, jak i przystosowania umożliwiające storczykom krzyżowe zapłodnienie.

Jak to już zaznaczyłem, moją "Zmienność zwierząt i roślin w stanie udomowienia" rozpocząłem na początku 1860 r., lecz ogłosiłem ją dopiero na początku 1868 r. Jest to ogromna książka i kosztowała mnie cztery lata i dwa miesiące ciężkiej pracy. Zawiera ona wszystkie moje spostrzeżenia oraz olbrzymią ilość faktów zebranych z rozmaitych źródeł o różnych tworach naszej hodowli. W drugim tomie rozpatrzyłem przyczyny i prawa zmienności, dziedziczności itp. w takim stopniu, w jakim pozwalał na to ówczesny stan naszej wiedzy. W zakończeniu pracy przedstawiłem tak bardzo atakowaną hipotezę pangenezy. Wartość hipotezy

niesprawdzonej jest niewielka lub zgoła żadna. Jeżeli jednak kiedyś w przyszłości ktoś zajmie się badaniami, które mogłyby potwierdzić taką hipotezę, to mu oddam dobrą przysługę, gdyż dzięki niej można powiązać ze sobą i wyjaśnić olbrzymią liczbę poszczególnych faktów. W 1875 r. ukazało się drugie w znacznym stopniu poprawione wydanie, którego przygotowanie zabrało mi wiele czasu.

Moje "Pochodzenie człowieka" zostało ogłoszone w lutym 1871 r. Od chwili gdy w 1837 lub 1838 roku uświadomiłem sobie, że gatunki to twory bardzo zmienne, nie mogłem oprzeć się przekonaniu, że i człowiek musi podlegać temu samemu prawu. W związku z tym dla własnej satysfakcji zbierałem dane dotyczące tego zagadnienia i przez czas długi nie miałem żadnego zamiaru ich ogłaszać. Chociaż w "Powstawaniu gatunków" nie było rozważane pochodzenie jakiegoś poszczególnego gatunku, to, aby nikt z uczciwych ludzi nie mógł mi zarzucić, że ukrywałem swoje poglądy, uważałem, że lepiej jest dodać w tym dziele, iż "może ono rzucić pewne światło na pochodzenie człowieka i jego historię". Byłoby rzeczą zbyteczną, a dla powodzenia książki nawet szkodliwą, gdybym zachciał popisywać się moimi zapatrywaniami na pochodzenie człowieka nie przytaczając równocześnie na to żadnych dowodów.

Gdy następnie jednak przekonałem się, że wielu przyrodników bez zastrzeżeń przyjęło teorię ewolucji gatunków, wydało mi się wskazane przystąpić do opracowania tych notatek, które posiadałem, i ogłosić osobną rozprawę o pochodzeniu człowieka. Cieszyło mnie to tym bardziej, że stwarzało sposobność pełnego rozpatrzenia doboru płciowego, tematu, który mnie zawsze bardzo zajmował. Zarówno ten temat, jak i zmienność form udomowionych łącznie z przyczynami i prawami zmienności, dziedziczności itp. oraz krzyżowanie roślin są to te jedyne zagadnienia, które udało mi się opisać tak obszernie, że mogłem wykorzystać wszystkie zgromadzone przeze mnie materiały. "Pochodzenie człowieka" pisałem przez trzy lata, lecz jak zwykle część tego czasu straciłem wskutek choroby, a część poświęciłem przygotowaniu nowych wydań i innym pomniejszym pracom. Drugie wydanie "Pochodzenia", znacznie poprawione, ukazało się w 1874 r.

Książka moja "O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt" ukazała się w jesieni 1872 r. Zamierzałem poświęcić temu tematowi tylko jeden rozdział w "Pochodzeniu człowieka", lecz gdy zacząłem porządkować notatki, przekonałem się, że to wymaga osobnej rozprawy.

Pierwsze moje dziecko urodziło się 27 grudnia 1839 r. i od tego czasu zacząłem robić notatki o pierwszych przeblyskach różnych uczuć, jakie ono okazywało, byłem bowiem przekonany, że właśnie ten ważny okres jest naturalnym początkiem stopniowego rozwoju najbardziej nawet złożonych i subtelnych odcieni ich ekspresji. W czasie lata następnego, 1840 roku, przeczytałem doskonale dzieło sir C. Bella o wyrażaniu uczuć [C. Bell: Anatomy and Philosophy of Expression - tłum.], w związku z czym moje zainteresowanie tym zagadnieniem bardzo wzrosło, chociaż nie mogłem zgodzić się z jego poglądem, że różne mięśnie zostały stworzone specjalnie w celu wyrażania uczuć. Od tego czasu przy różnych okazjach, poświęcałem nieco uwagi tej sprawie zarówno w odniesieniu do człowieka, jak i do naszych zwierząt udomowionych. Książka rozeszła się szybko; w dniu jej ukazania się sprzedano 5267 egzemplarzy.

W lecie 1860 r. próżnowałem i odpoczywałem w pobliżu Hartfield, gdzie obficie występują dwa gatunki rosziczki [*Drosera*]; zauważyłem, że liczne owady są chwywane przez liście tych roślin. Wziąłem do domu kilka roślin i podając im owady dostrzegłem ruchy włosków, co naprowadziło mnie na myśl, że owady są chwywane w jakimś określonym celu. Na szczęście przyszedł mi do głowy pomysł zrobienia rozstrzygającej próby, a mianowicie: umieszczenia wielkiej ilości liści w różnych płynach tej samej gęstości zawierających azot i pozbawionych azotu. Wkrótce zauważyłem, że tylko pierwsze wyzwalały energiczne ruchy, co otwierało nowe pole do badań.

W ciągu następnych lat, gdy tylko miałem trochę wolnego czasu, prowadziłem dalsze doświadczenia i w lipcu 1875 r., czyli w szesnaście lat od chwili moich pierwszych obserwacji, została opublikowana moja książka "Insectivorous Plants". To opóźnienie, tak jak to było ze wszystkimi moimi książkami, przyniosło wielkie korzyści, gdyż po upływie dłuższego czasu człowiek może odnieść się do swojej pracy równie krytycznie jak do cudzej. Fakt, że roślina po odpowiednim podrażnieniu wydziela płyn zawierający kwas i ferment bardzo podobny do zwierzęcych soków trawiennych, był niewątpliwie doniosłym odkryciem.

W jesieni 1876 r. ukaże się moja praca "Skutki krzyżowania i samozapładniania w świecie roślin". Książka ta będzie uzupełnieniem do "Fertilisation of Orchids", w której wykazałem, jak doskonale są urządzenia służące do krzyżowego zapładniania; w tej zaś wykażę, jak doniosłe są skutki takiego zapładniania. Zupełnie przypadkowe spostrzeżenia skłoniły mnie do prowadzenia w ciągu jedenastu lat z rzędu licznych przytoczonych w książce doświadczeń. I rzeczywiście trzeba trafu, że taki przypadek zdarzył się powtórnie właśnie

przedtem, zanim całą moją uwagę pochłonął ten znamieny fakt, iż siewki otrzymane w wyniku samozapłodnienia już w pierwszym pokoleniu ustępują pod względem wielkości i żywotności siewkom pochodzącym z zapłodnienia krzyżowego. Mam także nadzieję na nowe poprawione wydanie książki o storczykach, a później na wydanie prac o roślinach dwu- i trzypostaciowych łącznie z pewnymi dodatkowymi dotyczącymi pokrewnych zagadnień spostrzeżeniami, których nie miałem nigdy czasu uporządkować. Siły moje będą zapewne wówczas na wyczerpaniu i gotów będę zawołać *nunc dimittis*.

"Skutki krzyżowania i samozapłodnienia" [odtąd do zdania: "Książka ta pobudziła moje dawne zainteresowania geologiczne" - tekst dodany do rękopisu "Wspomnień" w 1881 r.] zostały opublikowane w jesieni 1876 r. Wyniki, do jakich doszedłem, tłumaczą moim zdaniem niezliczone i przedziwne urządzenia służące do przenoszenia pyłku z jednej rośliny na drugą w obrębie tego samego gatunku. Obecnie jednak sędzę, zwłaszcza wobec badań Hermanna Müllera, że powinienem był położyć większy nacisk na kwestię licznych przystosowań do samozapłodnienia; znałem przecież wiele takich przystosowań. W 1877 r. wyszło znacznie rozszerzone wydanie "Fertilisation of Orchids".

W tym samym roku ukazała się moja książka "The Different Forms of Flowers" etc., a w roku 1880 jej drugie wydanie. Zawiera ona kilka prac początkowo ogłoszonych w Towarzystwie im. Linneusza o kwiatach różnosłupkowych. Do prac tych wprowadzono potem poprawki, dodano wiele nowego materiału wraz z opisem innych przypadków, w których na tej samej roślinie występują dwa rodzaje kwiatów. Jak zaznaczono poprzednio, żadne inne z moich drobnych odkryć nie sprawiło mi tyle zadowolenia, co ocena znaczenia kwiatów różnosłupkowych. Wyniki nieprawowitego [in an illegitimate manner] [Illegitimate union - nieprawowite łączenie, polega na zapyleniu długich słupków pyłkiem z krótkich pręcików lub krótkich słupków pyłkiem z długich pręcików - tłum.] krzyżowania takich kwiatów uważam za bardzo ważne, gdyż odnoszą się one do bezpłodności mieszańców; zresztą niewiele tylko osób zwróciło na to uwagę.

W roku 1879 opublikowałem przekład [z niemieckiego na angielski - tłum.] artykułu dra Ernesta Krausego - "Życie Erazma Darwina" [*Life of Erasmus Darwin*] - dodając od siebie zarys jego charakteru i sposobu życia oparty na posiadanych przeze mnie materiałach. Wiele osób bardzo interesowało się tym niewielkim życiorysem i dziwi się, że sprzedano tylko 800-900 egzemplarzy. Ponieważ przez przypadek nie wspominałem, że dr Krause rozszerzył i uzupełnił swój artykuł w języku niemieckim, nim został on przetłumaczony, p. Samuel

Butler napadł na mnie z niepoczytalną prawie złośliwością [Po ukazaniu się książki Butlera "Evolution old a. new", 1879, Krause dodał do "Życia" kilka zdań, nawiązujących do poglądu Butlera, że faktycznym twórcą teorii był Erazm Darwin. Krause twierdzi ("Darwin u. Sein Verhältnis zu Deutschland", 1885), że napaść Butlera na Darwina miała światopoglądowe przesłanki - tłum.]. Nigdy nie umiałem zrozumieć, czym mianowicie mogłem go tak dotkliwie urazić. Sprawa była przedmiotem sporu między czasopismem "Atheneum" i "Nature". Ze swej strony przedstawiłem wszystkie odnośne dokumenty dobrym sędziom, a mianowicie: Huxleyowi, Leslie Stephenowi, Litchfieldowi i in. i wszyscy oni byli zgodni co do tego, że atak był tak nieuzasadniony, iż nie zasługuje na żadną publiczną odpowiedź. Wyraziłem już bowiem przedtem prywatnie moje ubolewanie p. Butlerowi za to przypadkowe pominięcie. Huxley pocieszał mnie cytując po niemiecku parę wierszy z Goethego, który atakowany przez kogoś powiedział: "Każdy wieloryb ma swoją wesz".

W 1880 roku przy współpracy Franka [Francisa Darwina - tłum.] ogłosiłem naszą pracę "Power of Movement in Plants". Kosztowała ona nas dużo pracy. Książka ta pozostaje w takim samym stosunku do "Climbing Plants" co "Cross-Fertilisation" do "Fertilisation of Orchids". Nie można bowiem dać zgodnego z zasadami ewolucji wyjaśnienia tego, że rośliny pnące rozwinęły się w tak licznych i tak bardzo różniących się od siebie grupach, nie zakładając, że każda roślina ma jakąś choćby nikłą zdolność do analogicznego ruchu. Dowiodłem więc, że tak jest rzeczywiście i doszedłem do dosyć szerokiego uogólnienia, a mianowicie, że wielkie i ważne rodzaje ruchów wywoływane przez światło, siłę ciężkości itd. są zmodyfikowanymi formami podstawowego ruchu cyrkumnutacji. Cieszyło mnie zawsze, że podniosłem niejako rośliny na wyższy szczebel w drabinie istot żywych i dlatego odczuwałem szczególną przyjemność wykazując, jak liczne i jak doskonale przystosowane ruchy wykazuje wierzchołek korzenia.

Obecnie (1 maja 1881 r.) podpisałem do druku rękopis książeczki "The Formation of Vegetable Mould through the Action of Worms". Jest to temat nie mający większego znaczenia i nie wiem, czy znajdzie czytelników, lecz dla mnie jest interesujący. Jest to uzupełnienie krótkiej pracy przedstawionej Towarzystwu Geologicznemu przed ponad czterdziestu laty. Książka ta pobudziła moje dawne zainteresowania geologiczne.

Wymieniłem już wszystkie książki, jakie opublikowałem, a ponieważ były one milowymi słupami w moim życiu, niewiele pozostaje mi do dodania. W ciągu trzydziestu lat nie dostrzegłem żadnej zmiany w moim umyśle z wyjątkiem jednej,

o której zaraz wspomnę. Zresztą nie należało oczekiwać żadnej zmiany poza ogólnym chyba przytępieniem. Ojciec mój jednak dożył osiemdziesięciu trzech lat zachowując świeżość umysłu i nie wskazując przytępienia jakiegokolwiek ze swych zdolności. Spodziewam się, że i ja umrę, zanim mój umysł przygaśnie w sposób widoczny. Myślę, że stałem się nieco bystrzejszy w wynajdywaniu trafnych wyjaśnień i projektowaniu doświadczalnych testów. Jest to jednak prawdopodobnie tylko wynikiem wprawy i bogatszego zasobu wiedzy. Jednakże nadal sprawia mi trudność jasne i ściśle wyrażanie się; trudność ta zawsze powodowała wielką stratę czasu. Ma ona jednak tę dobrą stronę, że zmusza mnie do długich i usilnych rozmyślań nad każdym zdaniem. Dzięki temu dostrzegam często błędy rozumowania zarówno w moich, jak i cudzych spostrzeżeniach.

W moim umyśle tkwiło coś jakby jakaś siła fatalna sprawiająca, iż moje twierdzenia i wnioski formułowałem z początku w sposób błędny i niezręczny. Dawniej zwykłem być rozmyślać nad każdym zdaniem, zanim je napisałem, lecz już przed wielu laty doszedłem do przekonania, że tracę mniej czasu, jeśli byle jak zapisuję całe stronicę, i to tak szybko jak tylko potrafię, skracając słowa do połowy, a dopiero później poprawiam je z namysłem. Zadania napisane w ten sposób są często lepsze niż napisane po namyśle.

Powiedziawszy tyle o moim sposobie pisania dodam, że przy większych książkach wiele czasu poświęcałem ogólnemu układowi treści. Najpierw sporządzałem najbardziej ogólnikowy zarys na dwóch lub trzech stronicach, później rozszerzony do kilkunastu stron, w których często parę słów lub nawet jedno słowo zastępowało całe omówienie lub szereg faktów. Każde z tych haseł następnie rozszerzałem, a często przerabiałem, zanim zaczynałem pisać *in extenso*. Ponieważ w wielu moich książkach posługiwałem się obficie faktami dostrzeżonymi przez innych i ponieważ opracowywałem zawsze równocześnie kilka różnych tematów, wspomnę tu, że miałem trzydzieści do czterdziestu wielkich tek w szafach z oznaczonymi szufladami, do których mogłem w każdej chwili dołączyć jakąś luźną notkę czy większą notatkę. Kupowałem wiele książek; na końcu sporządzałem skorowidz wszystkich faktów odnoszących się do mej pracy. Jeżeli książka nie była moją własnością, sporządzałem z niej osobny wyciąg i takich wyciągów pełna jest jedna duża szuflada. Nim rozpocząłem pracę nad jakimś tematem, przeglądałem wszystkie te krótkie konspekty i sporządzałem jeden ogólny systematyczny skorowidz; kiedy wyjąłem jedną lub kilka tek, miałem gotowe do użytku wszystkie dane, jakie zebrałem w ciągu całego życia.

Powiedziałem już, że pod pewnym względem umysł mój uległ zmianie w ciągu ostatnich dwudziestu czy trzydziestu lat. Do trzydziestego roku życia, a nawet nieco później, wszelkiego rodzaju poezja, jak np. utwory Milтона, Graya, Wordswortha, Coleridge'a i Shelleya, sprawiały mi wielką przyjemność, a jeszcze jako uczeń zachwyciałem się Szekspirem, zwłaszcza jego dramataми historycznymi. Wspomniałem też, że dawniej delectowałem się obrazami, a jeszcze bardziej muzyką. A teraz od wielu już lat nie mogę się zmusić do przeczytania jednego wiersza poezji; ostatnio próbowałem czytać Szekspira, lecz okazało się to nudne nie do wytrzymania, wręcz przyprawiało mnie o mdłości. Straciłem wszelkie zamiłowanie do malarstwa i muzyki. Kiedy słucham muzyki, zaczynam intensywnie myśleć o tym, co mam do zrobienia, zamiast czerpać z niej przyjemność. Zachowałem jeszcze upodobanie do piękna krajobrazu, ale i to nie budzi we mnie, jak to było dawniej prawdziwego zachwyty. Natomiast powieści, które są wytworem wyobraźni, chociażby nawet pozbawione większych wartości, przez długie lata dawały mi wytchnienie i przyjemność, toteż często błogosławię wszystkich powieściopisarzy. Czytano mi ich bardzo wiele na głos i podoba mi się każda, o ile jest przeciętnie dobra, i o ile nie kończy się nieszczęśliwie, co powinno być prawnie zakazane. Powieść, moim zdaniem, nie należy do najlepszych, gdy nie występuje w niej osoba, którą byśmy mogli serdecznie pokochać. A jeżeli jest nią piękna kobieta, to tym lepiej.

Ten ciekawy i godny pożałowania zanik wyższego odczucia estetycznego jest tym dziwniejszy, że książki historyczne, biografie i książki podróżnicze (niezależnie od faktów naukowych, które mogą zawierać), jak również różnego rodzaju eseje interesują mnie obecnie tak samo jak dawniej. Umysł mój stał się czymś w rodzaju maszyny, która przerabia wielkie zbiory faktów na ogólne prawa, lecz nie rozumiem, dlaczego spowodowało to atrofię tylko tej części mózgu, od której zależą te wyższe upodobania. U człowieka, którego umysł jest o wiele wyżej uorganizowany lub lepiej zbudowany niż mój nie powinno, jak przypuszczam, nastąpić coś takiego. I jeżeli miałbym żyć jeszcze raz, trzymałbym się zasady, aby przynajmniej raz w tygodniu poczytać trochę poezji i posłuchać muzyki. Być może, że te części mózgu, które u mnie uległy atrofii, zachowałyby aktywność wskutek używania. Utrata tych zamiłowań jest utratą szczęścia i może być szkodliwa dla umysłu, a zapewne i dla moralnych właściwości, bo osłabia uczuciową stronę naszej natury.

Sprzedaż moich książek w Anglii miała szeroki zasięg, przetłumaczono je na wiele języków i doczekały się one licznych wydań w obcych krajach. Słyszałem, że powodzenie dzieła za granicą jest najlepszym probierzem jego trwałej wartości.

Wątpię, czy jest to prawda, lecz jeśli przyjąć tę miarę, nazwisko moje powinno przez kilka jeszcze lat przetrwać [w pamięci ludzkiej]. Dlatego może warto byłoby spróbować poddać analizie właściwości umysłowe i warunki, na których opierało się moje powodzenie, chociaż jestem pewien, że nikt nie jest w stanie dokonać tego w sposób poprawny.

Nie odznaczam się ani wielką lotnością pojmowania, ani bystrością, co cechuje w dużym stopniu niektórych tak zdolnych ludzi, jak na przykład Huxley. Jestem przeto marnym krytykiem; praca lub książka, którą czytam po raz pierwszy, budzi zazwyczaj we mnie podziw i dopiero po dłuższym zastanowieniu dostrzegam słabe jej punkty. Moja zdolność do śledzenia długiego i abstrakcyjnego toku myślowego jest bardzo ograniczona, nigdy zresztą nie osiągnąłem niczego w metafizyce lub matematyce. Pamięć mam rozległą, lecz nieco przyćmioną; wystarcza ona jedynie, aby uprzedzać mnie mgliście, że dostrzegłem lub przeczytałem coś, co przeczy moim poglądom, albo też, przeciwnie, co za nimi przemawia, a dopiero po upływie pewnego czasu przypominam sobie zazwyczaj, gdzie należy szukać rozstrzygnięcia. Pod pewnymi względami pamięć moja jest tak słaba, że nie mogę zapamiętać dłużej niż na kilka dni jakiejś szczególnej daty lub wiersza poezji.

Niektórzy moi krytycy mówili: "O, on jest dobrym obserwatorem, lecz nie ma zdolności wyprowadzania wniosków". Nie sądzę, aby to było prawdą, gdyż "Powstawanie gatunków" jest przecież od początku do końca jednym długim dowodzeniem, które potrafiło przekonać niemało zdolnych ludzi. Nikt nie mógłby napisać tej książki nie posiadając pewnej zdolności wnioskowania. Odznaczam się dużą pomysłowością i mam sporą dozę zdrowego rozumu, czyli rozsądku, tak jak każdy prawnik lub lekarz mający przeciętne powodzenie, lecz nic więcej.

Na swoje dobro muszę, jak sądzę, zapisać, że mam większą niż przeciętny ogół ludzi zdolność dostrzegania rzeczy łatwo uchodzących uwadze oraz dokładniej je obserwuję. Moja gorliwość w obserwowaniu i gromadzeniu faktów była chyba tak wielka, jak to jest w ogóle możliwe. A co jest o wiele ważniejsze, żywiłem zawsze niezmiernie gorące zamiłowanie do nauk przyrodniczych. To czyste umiłowanie podtrzymywała ambicja pozyskania szacunku moich kolegów-przyrodników. Od wczesnej młodości moim największym pragnieniem było zrozumienie i wyjaśnienie wszystkiego, cokolwiek podpadało mojej obserwacji, czyli podporządkowanie wszystkich faktów ogólnym prawom. Te wszystkie przyczyny razem wzięte złożyły się na cierpliwość w rozważaniu i rozmyślaniu przez lata całe nad jakimś nie wyjaśnionym problemem. O ile mogę sądzić, nie mam skłonności do ślepego naśladowania bliźnich. Zawsze usiłowałem zachować taką swobodę



umysłu, aby móc odrzucić każdą, najbardziej choćby ulubioną hipotezę (a nie mogę się oprzeć stawianiu hipotez we wszelkim przedmiocie), jeśli tylko stwierdziłem fakty przemawiające przeciw niej. Zresztą nie miałem innego wyjścia, jak tylko postępować w ten sposób, gdyż z wyjątkiem teorii raf koralowych nie pamiętam ani jednej takiej hipotezy, której by nie trzeba było później poniechać w jej pierwotnej postaci lub znacznie zmodyfikować. Doprowadziło mnie to do przekonania, że w naukach mieszanych [mixed sciences] nie należy polegać na rozumowaniu dedukcyjnym. Z drugiej strony, nie jestem nastawiony bardzo sceptycznie, a jestem przekonany, że taka struktura umysłu jest szkodliwa dla postępu wiedzy. Zdrowa doza sceptycyzmu jest pożyteczna, bo pozwala człowiekowi nauki unikać większej straty czasu; spotkałem się z tym, że brak tego powstrzymał, jak jestem o tym przekonany, wielu ludzi od doświadczeń i obserwacji, które by bezpośrednio lub pośrednio mogły być pożyteczne.

Dla ilustracji podam jeden z najbardziej dziwacznych znanych mi wypadków. Pewien gentleman (jak się później dowiedziałem, dobry botanik) napisał do mnie z jednego z hrabstw wschodnich, że nasiona, czyli ziarna zwyczajnego bobu polnego, w tym roku wszędzie wyrosły po niewłaściwej stronie strąka. Odpisałem, prosząc o bliższe wiadomości, ponieważ nie rozumiałem, o co chodziło; przez długi czas jednak nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Później znalazłem w dwóch gazetach, jednej wydawanej w Kent, a drugiej w Yorkshire, wzmiankę o bardzo dziwnym fakcie, że "w tym roku nasiona bobu wyrosły wszędzie z niewłaściwej strony". Sądziłem, że tak ogólnie podtrzymywane twierdzenie musi mieć jakieś podstawy. Poszedłem więc do mego ogrodnika, starszka pochodzącego z Kent, i spytałem go, czy słyszał coś o tym. Odpowiedział mi: "Ależ nie, to musi być pomyłka, ponieważ tylko w latach przestępnych ziarna rosną ze złej strony, a toż nie jest rok przestępny". Spytałem go wówczas jak rosną ziarna w zwyczajnych latach, a jak w przestępnych, lecz przekonałem się, że w ogóle nie wie on o tym nic, jak rosną. Upierał się jednak przy swym zdaniu.

Po pewnym czasie dowiedziałem się od mego pierwszego informatora, który przy tym bardzo się tłumaczył, że nigdy by do mnie o tym nie napisał, gdyby go w tym nie utwierdzało wielu inteligentnych farmerów; kiedy wszakże później znów z nimi rozmawiał, żaden z nich nie umiał wyjaśnić, co miał właściwie na myśli. Tak więc w całej prawie Anglii rozpowszechniło się przekonanie - o ile przekonaniem można nazwać stwierdzenie nie związane z jakimkolwiek określonym przedstawieniem - którego w żaden sposób nie można udowodnić. Przez całe moje życie tylko trzy razy zetknąłem się ze świadomie sfalszowanymi twierdzeniami, z których jedno było może po prostu mistyfikacją (a wiele jest w nauce mistyfikacji),

w co wszakże została wciągnięta pewna amerykańska gazeta rolnicza. Wiadomość głosiła, że w Holandii otrzymano nową rasę bydła przez skrzyżowanie dwóch różnych gatunków Bos (co do niektórych z nich dowiedziałem się, że połączenia ich pozostają niepłodne) i autor miał czelność twierdzić, że korespondował ze mną i że ja byłem głęboko poruszony znaczeniem jego wyników. Artykuł przesłał mi wydawca "English Argicult. Journal" z prośbą o wydanie opinii przed przedrukiem.

Drugi wypadek dotyczył opisu wielu wyhodowanych przez autora odmian licznych gatunków pierwiosnki [*Primula*], które wydały samorzutnie pełną ilość nasion, pomimo tego że rośliny rodzicielskie były dokładnie zabezpieczone przed dostępem owadów. Opis ten został wydrukowany, zanim odkryłem znaczenie heterostylii i całe doniesienie musiało być oszustwem lub tak karygodnym zaniedbaniem ochrony przed owadami, że graniczy to z nieprawdopodobieństwem.

Trzeci wypadek był jeszcze dziwniejszy. Pan Huth ogłosił w swojej książce o małżeństwach między krewnymi obszernie wyciągi z pracy pewnego belgijskiego autora, który wykazywał, że stosując przez wiele pokoleń najściślejszy chów wsobny królików nie zauważył najmniejszych nawet szkodliwych następstw. Doniesienie to było ogłoszone w bardzo poważnym czasopiśmie Królewskiego Medycznego Towarzystwa Belgijskiego, lecz mimo to nie mogłem pozbyć się pewnych wątpliwości, sam nie wiem dlaczego, chyba dlatego że nie znałem takich przypadków, a na podstawie mojego doświadczenia w hodowli zwierząt należało uważać to za nieprawdopodobne.

Tak więc po wielkich wahaniach napisałem do profesora Van Bendena zapytując go, czy autor jest człowiekiem zasługującym na zaufanie. Wkrótce dowiedziałem się, że Towarzystwo było ogromnie oburzone, okazało się bowiem, że całe doniesienie było oszustwem. Autora zapytano publicznie w czasopiśmie, gdzie mieszka i gdzie hoduje tę olbrzymią liczbę królików potrzebnych do doświadczeń, które musiały trwać wiele lat. Nie otrzymano jednak żadnej odpowiedzi. Zawiadomiłem biednego p. Hutha, że doniesienie które było kamieniem węgielnym jego argumentacji, okazało się fałszerstwem, na co z całą godnością kazał zamieścić we wszystkich nie rozsprzedanych egzemplarzach swej książki drukowane sprostowanie.

Byłem przyzwyczajony do metodyczności, co przyniosło mi niemały pożytek w mojej osobiwej pracy. Poza tym miałem dużo wolnego czasu, bo nie musiałem

zarabiać na życie. Nawet choroba, choć zabrała mi wiele lat, uchroniła mnie od rozrywek i przyjemności towarzyskich.

Nie wchodząc w ocenę moich osiągnięć jako człowieka nauki, sędzę, że są one wynikiem złożonych i różnorodnych właściwości umysłowych i warunków. Z tych najważniejsze to - umiłowanie nauki, nieograniczona cierpliwość do długich rozmyślań nad jakimkolwiek tematem, umiejętność obserwowania i gromadzenia faktów, a także znaczna doza pomysłowości, jak również zdrowego rozsądku. Jest rzeczą doprawdy zadziwiającą, iż przy tak przeciętnych zdolnościach, jakie posiadam, mogłem wywrzeć poważny w swym zakresie wpływ na poglądy uczonych w niektórych ważnych kwestiach.

**3 sierpnia 1876** [Rękopis był uzupełniany przez K. Darwina w latach późniejszych - tłum].

Ten szkic mojego życiorysu rozpocząłem około 28 maja [niezgodność dat na początku "Wspomnień" (31 maja 1876) i w powyższym zakończeniu nie jest wyjaśniona - tłum.] w Hopedene i od tej chwili pisałem go prawie codziennie po południu przez około godzinę.